

NOWA KONFEDERACJA

nr 1 (67)/2016

INTERNETOWY MIESIĘCZNIK IDEI

6 stycznia—2 lutego

cena: 0 zł



**NADCHODZI
LEWICA 3.0**

LEPSZA CZY GORSZA OD STAREJ?

W numerze:

Kto będzie bronił słabszych?

Michał Kuź 3

Razem w pułapce kserolocalizmu

Piotr Trudnowski 9

PiS – ekipa stąd

Stefan Sękowski 16

Koniec lewicy, jaką znaliśmy

Rafał Matyja 20

Wiele hałasu w haremie

Bartłomiej Radziejewski 26

Pozorna siła polskiego eksportu

Z prof. Jerzym Żyżyńskim rozmawia Aleksandra Rybińska 32

Czy niedźwiedź wystawi smoka?

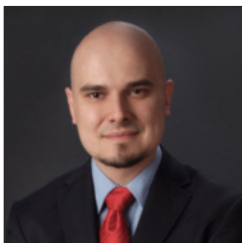
Michał Lubina 36

Turecka lekcja dla Polski

Krzysztof Rak 41

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Kto będzie bronił słabszych?



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Lewicowcy mogą albo bronić swoich pokrzywdzonych, albo stać się jedynie użytecznymi idiotami neoliberalizmu

Jest 12 grudnia, trwa wielotysięczna demonstracja zorganizowana przez Komitet Obrony Demokracji, przemawiają politycy opozycji. Na platformie czerwonego autobusu centralne miejsce zajmują Ryszard Petru, Władysław Kosiniak-Kamysz i Barbara Nowacka. Ta ostatnia to przywódczyni pozaparlamentarnej już Zjednoczonej Lewicy, ugrupowania, które miało rewitalizować lewą stronę sceny politycznej poprzez połączenie starych, SLD-owskich sentymentów z nową krwią. „Nie ma wolności bez poszanowania prawa, nie ma wolności bez niezawisłych sądów, nie ma wolności bez szanowania konstytucji... Jarosławie Kaczyński, tu jest Polska, tu są Polki i Polacy i nie będzie nam pan mówił, co możemy, a czego nie możemy” – krzyczy Nowacka. Młody „demon” polskiego neoliberalizmu Ryszard Petru słucha jej słów ze swoim charakterystycznym bystrym uśmiechem. Warto zapamiętać ten obrazek jako symbol nędzy i klęski lewicy, która oderwała się od swojej społecznej bazy – zwykłych ludzi, i bezwrotnie orbituje wokół neoliberalnej nadbudowy –

elity związanej z instytucjami finansowymi i interesami dominujących globalnych centrów politycznych. Dziś w Polsce i w Europie bardzo wyraźnie widać bowiem, że lewica, jeśli potrafi, będzie musiała zejść na ziemię i stać się bardziej narodową i lokalną – albo pogodzić się ze swą marginalizacją i zanikaniem.

Lewica podzielona

Ryszard Petru może sobie pogratulować, bowiem właśnie teraz, na tym marszu, zjada swoje polityczne przystawki, choć przecież mogłoby się wydawać, że powinien być czarną owcą polskiej polityki. Oto on, były doradca bankowy, obrońca OFE i kredytów frankowych, człowiek, który w programie swojej partii otwarcie zapisał rozwiązania wzmacniające zamożniejszych kosztem klasy niższej i średniej, wyrasta na lidera opozycji. Nic zresztą dziwnego, rządzi socjalna prawica i rekordowo szybko się zużywa, centroprawicowa PO jest już zużyta, a lewica nie ma swojego wyrazistego głosu.

Mówiącej o tym, bez czego nie ma „wolności”, Barbarze Nowackiej nie przyszło bowiem nawet na myśl, by powiedzieć: „nie ma wolności bez praw socjalnych, pozwalających z wolności korzystać”, w skrócie: „nie ma wolności bez solidarności”. W efekcie mówi do nikogo, jej elektoratu już nie ma. Ci bardziej socjalni, których ostatnio i tak już nie było wielu, są (słusznie lub nie) z PiS-em. Pozostali, dla których najważniejsze jest, by im „nikt nie mówił, czego nie mogą”, są już z .Nowoczesną.

Młoda lewica odżywa teraz w Europie tylko tam, gdzie przynajmniej na chwilę cisnęła w kąt postmodernistyczne kostiumy

W autobusie brak wprowadzie malutkiej lewicowo-socjalnej Partii Razem, na razie jednak, przy słabym dostępie do mediów, nie może ona zaszkodzić nowemu, wykuwającemu się właśnie konsensusowi po stronie opozycji. Razem organizuje wprowadzie własną, alternatywną demonstrację, ale wiele jeszcze wody w Wiśle upłynie, zanim okrzepnie i będzie mogła liczyć na wynik porównywalny z wynikiem hiszpańskiego Podemos.

Pojawia się coraz więcej przesłanek pozwalających przypuszczać, że – choć proces ten w różnych krajach przebiega z odmienną dynamiką – różnice pomiędzy Razem a Zjednoczoną Lewicą są dość symptomatyczne dla całej europejskiej polityki. Lewicowe ugrupowania na starym kontynencie muszą bowiem coraz częściej

wybierać: albo powracają do haseł socjalnych i tonują w przekazie elementy obyczajowe, estetyczne i kosmopolityczne, albo po prostu słabną, a ich polityczne aktywa są przejmowane przez ugrupowania broniące obecnego neoliberalnego konsensusu lub przez prawicowych populistów.

W stronę populizmu

Słowa „populizm” nie należy tu rozumieć jako inwektywy. Lewica historycznie miała bronić interesów licznych i mniej uprzywilejowanych przed nielicznymi i dobrze sytuowanymi. Obecnie zaś osierocony przez nią „populus” (czyli „liczni”) musiał sobie poszukać nowych obrońców.

Dlaczego jednak „obrońcy” ludu to dziś w Europie coraz częściej partie częściowo przynajmniej zakorzenione w tradycjach narodowych, partie takie jak FN we Francji, AfD (Alternatywa dla Niemiec), szkocki SNP i wreszcie polskie PiS? Cóż, pierwsza, jeszcze marksowska, generacja nowoczesnej europejskiej lewicy zakładała obronę interesów niższych klas społecznych poprzez internacjonalizację ruchu, czyli działanie ponad głowami państw narodowych. Plany te spełzyły oczywiście na niczym. Lewicy udało się zmienić politykę tylko tam, gdzie zdecydowała się zagrać w ramach narodowych demokracji, co doprowadziło do powstania w świecie zachodnim państw opiekuńczych.

Ulokowanie starej lewicy nie oznaczało jednak, że procesy technologiczno-społecznej globalizacji przestały działać. Nabrały jednak zdecydowanie już nielewicowej ideologicznej barwy. Neoliberalna globalizacja kapitału i komunikacji okazała się silniejsza od „niebiańskiego” ideału globalizacji opartej na solidarności i równości.

Skutkiem ubocznym tych zjawisk są dziś globalnie rosnące nierówności społeczne, brak stabilizacji i zanikanie stałych form zatrudnienia. Po części owocem neoliberalnej globalizacji są też „nowe wędrówki ludów” – nie można bowiem zapominać, że większość przybyszy docierających do Europy to imigranci zarobkowi, a nie uchodźcy wojenni. Tymczasem ludzie, po przekroczeniu pewnego pułapu swoich możliwości adaptacyjnych (i niezależnie od sprawności stosowanych przez neoliberalizm medialnych socjotechnik), nie pragną w swej masie większej „różnorodności” czy „elastyczności”. Chcą za to – coraz częściej – bezpieczeństwa, stabilizacji i zakorzenienia. Negowanie tych potrzeb w końcu musi doprowadzić do mniej lub bardziej gwałtownego buntu.

Kluczowe jest zatem pytanie, jakie zastane alternatywy polityczne mogą ten bunt ukierunkować. Stare lewicowe międzynarodówki leżą już dziś pogrzebane pod zwalami historii. Alterglobalizm nigdy nie wyszedł poza wymiar ruchu akademicko-młodzieżowego. Na placu boju pozostają więc tylko jeźdźcy globalizacji oraz różnego rodzaju kulturowe, religijne i etniczne lokalizmy, które w Europie przyjmują wciąż dawne formy narodów. To, co zostało z lewicy, musi prędzej czy później ulec nowej logice. Projekt „nowej lewicy”, lewicy skupionej na sporach lifestylewych i tożsamościowych, lewicy oderwanej od starych tożsamości klasowych i narodowych – tym samym upada.

Jest to oczywiście dla ludzi lewicy bardzo bolesne. Emblematyczne stały się łyzy wywodzącej się z Partii Zielonych szwedzkiej minister, która ogłaszała koniec proimigracyjnej polityki swego rządu. Zmiana staje się jednak nieunikniona. Lewicowcy mogą albo bronić swoich pokrzywdzonych, albo stać się użytecznymi

idiotami neoliberalizmu, który będzie lewicowe hasła emancypacyjne stosował nader wybiórczo. Te dotyczące obyczajów seksualnych, życia rodzinnego i laickości przyjmie łatwo, ponieważ pomogą mu one w starciu z tradycjonalistami, te zaś, które dotyczą solidarności społecznej, prawa do podstawowych usług publicznych i wyrównywania szans, wyrzuci przez okno.

Modernizm wiecznie żywy

W efekcie tradycyjne pojęcia lewicy i prawicy zdają się coraz mniej przystawać do rzeczywistości politycznej, zwłaszcza w Europie. W poprzednim moim tekście na ten temat wskazywałem, że być może już wkrótce przyjdzie nam nazwać nowe podziały nowymi słowami, takimi jak choćby „globalizm” i „lokalizm”.

Na razie pojęcia lewicy i prawicy, choć coraz mniej adekwatne, są jednak wciąż w obiegu. Na rynku idei funkcjonuje też pojęcie „nowej lewicy”. Dawny egalityzizm miało w takiej lewicy częściowo zastąpić to, co Anthony Giddens nazywa „polityką życia” (ekologia plus emancypacja obyczajowa), czy też to, co Ronald Inglehart określa jako wartości postmodernistyczne (styl życia, wolność wyboru) i odróżnia od wartości modernistycznych (status społeczny, dostęp do zasobów).

Problem z tą ideologiczną podmianą, z której miała wyrosnąć nowa zielono-obyczajowa lewica, polega jednak na tym, że kres modernistycznej walki o godny byt i nastanie ery miękkich sporów dotyczących stylu życia ogłoszono przedwcześnie. Powstanie klasy nowych wykluczonych – prekariatu dowodzi tego aż nadto dobitnie. W rezultacie ta część lewicy, która szybko i zbyt łatwo uwierzyła w prorocтва Ingleharta i Giddensa, zna-

lazła się w trudnej sytuacji głosiciela hasel zastępczych w stosunku do głównej osi sporu, dającej się krótko i węzłowo streścić słowami: rynki kontra ludzie.

Oczywiście, lewicowcy z ugrupowań pogardliwie nazywanych kawiorowymi (*vide* polscy Zieloni) oburzają się na takie ujęcie rzeczy. Twierdzą, że przecież można bronić praw pokrzywdzonych ekonomicznie i równocześnie stawiać na emancypację symboliczną. Takie argumenty formułowali na przykład w prowadzonej ze mną wymianie zdań Joanna Erbel i Łukasz Skurczyński. Rzeczywiście, ich ugrupowanie ma na koncie wyraźnie prosocjalne akcje, jak choćby obronę słynnego baru mlecznego (któremu zresztą, jak i innym tego typu instytucjom, rząd PiS właśnie zamierza zmniejszyć dotację), a zarazem – wyraźnie zapisane w programie hasła równościowe. Rzecz jednak w tym, że we współczesnej polityce od oficjalnego programu ważniejszy staje się przekaz medialny i proporcje, jakie zajmują w nim poszczególne komunikaty. To na podstawie tego przekazu kształtują się bowiem oczekiwania wyborców i to z niego są w efekcie rozliczani politycy.

Wyobraźmy więc sobie, że przekaz ugrupowań lewicowych zaczyna nagle odzwierciedlać społeczną wagę prezentowanych problemów. Na przykład: według danych sprzed trzech lat w Polsce 70 procent ludzi między 24 a 30 rokiem życia pracuje na umowach śmieciowych. Do tego pracują oni coraz dłużej i ciężiej przy mizernym wroście płac, są też wbrew swej woli wypychani z krajowego rynku pracy na emigrację. Przy takich wskaźnikach temat prawa pracy, stabilizacji i świadczeń socjalnych powinien być przerabiany przez każde lewicowe ugrupowanie do upadłego. Niezadowolenie tych młodych ludzi grozi przecież wybuchem i stwa-

rza realne niebezpieczeństwo dla demokracji. Tymczasem, na przykład, temat związków partnerskich dotyczy szacunkowo nieporównywalnie mniejszej liczby obywateli, ponieważ nawet na podstawie badań przeprowadzanych w najbardziej otwartych społeczeństwach i przy najbardziej liberalnej metodologii nie udało się dotąd nigdzie wykazać liczby homoseksualistów przekraczającej 7 procent, a słynny raport Kinseya mówi wręcz o 1 procencie. Śmiem wątpić, czy działacze Zielonych mogą powiedzieć, że ich zaangażowanie w rozmaite kampanie społeczne odpowiada tym proporcjom.

Nie wróżę Syrii dalszych sukcesów. W Grecji, podobnie jak w Polsce, Francji i Niemczech, nastał właśnie klimat dla prawicy

W ramach konsensusu neoliberalnego to, co zostaje z lewicy, jest dziś oddelegowywane do tematów obyczajowych. Gospodarką i prawem pracy zajmują się „eksperci” – do których jeszcze niedawno zaliczał się Ryszard Petru, a jakiś czas temu dołączył na przykład Kazimierz Marcinkiewicz. Zredukowana do bawienia się w postmodernizm lewica musi się zaś w końcu znaleźć w politycznym odwróceniu. Centrystyczne, technokratyczne partie będą zawsze odbierane jako bardziej profesjonalne, a populistyczne ugrupowania nowej prawicy jako bardziej ludowe. Młoda lewica odżywa teraz w Europie jedynie tam, gdzie przynajmniej na chwilę cisnęła w kąt postmodernistyczne kostiumy i przyjęła zasadę przekazu we właściwych pro-

porcjach odzwierciedlającego społeczne znaczenie problemów. W ten sposób po starej i nowej (giddensowskiej) lewicy możemy mówić o zarysowującej się właśnie lewicy trzeciej generacji, lewicy wracającej do haseł socjalnych (Syriza, Podemos, Razem).

Lewa wolna

Jak to już zostało zaznaczone, proces słabnięcia „nowej” i „starej” lewicy oraz zwrot populistyczno-socjalny nie wszędzie przebiegają w jednakowym tempie. Widocznych przykładów zmian jest jednak w Europie aż nadto. Nawet najstabilniejsze i najstarsze partie lewicowe wykazują oznaki zużycia. Niemieckiej SPD zupełnie nie udało się podnieść po – najgorszym od 1949 roku – wyniku zanotowanym w roku 2009. Poparcie dla Zielonych od ostatnich wyborów też wykazuje widoczną tendencję spadkową, choć wciąż utrzymuje się w okolicach 10 procent. Tymczasem liberalna FDP jest wyraźnie wyprzedzana przez prawicową Alternatywę dla Niemiec (AfD), która coraz częściej odnotowuje dwucyfrowe wyniki sondażowe. W Anglii laburzyści musieli przyjąć do wiadomości, że typowo populistyczna i lokalistyczna SNP wyrwała im w Szkocji niemal wszystko, co mogła. Prawicowi populiści Nigela Farage’a nie zdobyli co prawda wielu miejsc w parlamencie, lecz we władzach lokalnych są już czwartą siłą polityczną. Francja zaś zmierza wyraźnie w kierunku modelu przypominającego sytuację Polski po kolapsie SLD, wybór dokonuje się w coraz większym stopniu pomiędzy centroprawicą Sakrozy’ego a prawicą ludową, czyli FN. Socjaliści słabną w oczach.

Nie wszędzie oczywiście lewica daje się zupełnie marginalizować. Świetny przykład hiszpańskiego Podemos, podobnie

jak wcześniejsze sukcesy greckiej Syrizy, odbywają się jednak, tak jak przypadku prawicowych FN czy AfD, głównie kosztem skompromitowanej centrolewicy. Centroprawica wciąż ma się zaś – i na północy, i na południu Europy – dość dobrze. Dlatego nowe ugrupowania lewicowe dobre wyniki musiały okupić kompromisami w sferze symbolicznej. Syriza w obu swoich rządach weszła w koalicję z nacjonalistyczno-prawicową partią Niezależnych Greków – to trochę tak, jakby Razem miało się porozumieć z Ruchem Narodowym. Partia Podemos na razie aż takich kompromisów czynić nie musiała, ale niespokojny powyborczy czas może szybko pokazać, ilu „mszy” wart będzie Madryt.

Powstanie lewicy trzeciej generacji oznacza też pojawienie się szansy dla prawicy zorientowanej na republikańską współpracę w imię dobra wspólnego, a nie na wojnę totalną. Grecja pokazuje, że możliwe są sojusze broniące podmiotowości państwowej przed neokolonialnym podduszaniem. W ostatecznym rozrachunku wydaje się, że na zachodzących obecnie w europejskiej polityce przemianach zyska raczej prawica. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że prawicy łatwiej mobilizować swój elektorat wokół historycznych symboli, wspólnot, kościołów i narodów, na których straży zawsze stała. Nowa lewica tymczasem swoich nowych symboli jeszcze nie wypracowała. Czerwony sztandar i jednoczenie proletariuszy to już historia, a co dalej? Jakie hasła ponieść podczas marszu? Jak obchodzić Święto Niepodległości, by pozostać lewicą, a jednocześnie przyciągnąć kogoś więcej niż kilku sennych studentów? Oto pytania frapujące dziś ugrupowania lewicowe.

Siła mobilizacji sprawia też, że prawicy łatwiej jest wymagać od swojego

elektoratu cierpliwości i poświęcenia, gdy starcie z siłami politycznego globalizmu tego wymaga. Węgry Orbána przetrzymały presję Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz europejskich potęg i odrzuciły politykę zaciskania pasa w obliczu kryzysu. I choć dziś rządowi w Budapeszcie można zarzucić wiele rzeczy, to akurat w tym przypadku sam MFW przyznał mu rację. Premier Grecji zaś, Alexis Tsipras, w końcu uległ. Prawda, że presja była o wiele silniejsza i że Tsipras mimo wszystko władzę zachował, ale tak czy siak – uległ. Od tego zaś krótka droga do szukania łatwych i pozornych zwycięstw w sferze postpolityki. Tuż przed świętami grecka Syriza przegłosowała na przykład ustawę

o małżeństwach jednopłciowych. Grecy są więc nadal niemiecką neokolonią, tracą banki, lotniska, świadczenia i infrastrukturę. W tej trudnej sytuacji mogą jednak pocieszyć się tym, że – jak powiada Tsipras – „opuszczają epokę wsteczności i wkraczają w czasy uczciwości, godności, szacunku dla różnorodności...”.

Nie wróżę Syrii dalszych sukcesów. W Grecji, podobnie jak w Polsce, Francji i Niemczech, nastął właśnie klimat dla prawicy. Nie wszędzie będzie to prawica republikańska, szukająca dobra wspólnego, wszędzie jednak będzie się ona odwoływać do podmiotowości państw narodowych i do solidarności społecznej.

Razem w pułapce kserolokalizmu



PIOTR TRUDNOWSKI

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
członek warszawskiego zespołu Klubu Jagiellońskiego

Choć na prawicy wielu osobom partia Adriana Zandberga wydawała się spełnieniem marzeń o lepszej lewicy, już dziś można wskazać wiele czynników zapowiadających, że te nadzieje okażą się płonne

Najbliższe cztery lata, w czasie których Partia Razem będzie budowała się w oparciu o budżetowe subwencje, zadecydują, czy formacja ta utrzyma początkowy lokalistyczny kurs, czy też pójdzie ścieżką lewicy globalistycznej, skoncentrowanej na kwestiach kulturowych i obyczajowych. Choć na prawicy formacja ta wielu osobom wydawała się spełnieniem marzeń o lepszej lewicy, już dziś można wskazać wiele czynników zapowiadających, że te nadzieje okażą się płonne. W najlepszym razie mamy bowiem do czynienia z pseudolocalizmem w wersji *ksero*, w najgorszym zaś – z kolejną inkarnacją lewicowych obyczajowo globalistów.

Gdy w marcu ubiegłego roku Michał Kuź na łamach „Nowej Konfederacji” ogłaszał koniec dychotomii lewica–prawica i wieszczył nowy podział na lokalistów i globalistów, sądziłem, że jego teza jest być może uzasadniona w odniesieniu do zmian na politycznych scenach państw „starej Unii”, ale w stosunku do Polski – cokolwiek przedwczesna. Wówczas nowej

lewicowej formacji trudno było wieszczyć sukces. Poza wartościowym i powszechnie na prawicy cenionym, ale niszowym środowiskiem „Nowego Obywatela”, i poza kolejnymi marginalnymi inicjatywami Piotra Ikonowicza trudno było wskazać ośrodki krystalizowania się takiego ruchu lewicowego, dla którego sprawiedliwość społeczna byłaby istotniejsza niż antyklearykalizm i walka o przywileje mniejszości.

Tymczasem Partia Razem odniosła w wyborach parlamentarnych istotny sukces. Lewicowcy zaistnieli w świadomości wyborców i zdobyli ponad pół miliona głosów. Dzięki wyborczemu sukcesowi mają prawo do pobierania budżetowych subwencji. W perspektywie czteroletniej kadencji Partia Razem otrzyma z pieniędzy podatników blisko 13 milionów złotych. Już sam ten fakt wystarczy, by założyć, że nowa formacja sporo w polskiej polityce jeszcze namiesza. Warto przyjrzeć się jej więc z perspektywy republikańskich pryncypiów i zastanowić się, co tak naprawdę kryje się za fioletowym sztandarem.

Marzenie prawicy o normalnej lewicy

Gdy Razem zaczynała tworzyć struktury, przypadkiem spotkałem znajomego, który na poważnie zaangażował się w budowanie tej formacji. W rozmowie z zadeklarowanym antykomunistą miał poważny argument: „Wiesz, najfajniejsze jest to, że my tu teraz tworzymy lewicę, która z pełną odpowiedzialnością może powiedzieć, że chce wsadzić Leszka Millera do więzienia” – przekonywał. Trudno było tej wizji odmówić uroku.

Od tego czasu udało im się Millera wyrzucić z parlamentu. To siłą rzeczy sprawiło, że część związanych z prawicą komentatorów zaczęła spoglądać na Razem z coraz większym zainteresowaniem. Piotr Lisiewicz napisał nawet *List z sektory smoleńskiej do Partii Razem*. Wzywa w nim twórców nowej formacji do determinacji w budowaniu lewicy antyestablishmentowej, do komunikowania się bez pośrednictwa mainstreamu, namysłu nad dziedzictwem Żołnierzy Wyklętych i wreszcie... do sojuszu z Macierewiczem („Jeśli będziecie szukać po naszej stronie rozmówców, nie szukajcie ich wśród karierowiczów, którzy równie dobrze mogliby być w PO, lecz wśród twardzieli (...). Nie wśród tych, co cenią układnego Gowina, lecz ideowego Macierewicza”).

Choć list Lisiewicza jest swego rodzaju ekstremum, to dość dobrze wyraża marzenie wielu osób na polskiej prawicy o sporze z niepostkomunistyczną, ideową i odwołującą się do tradycji PPS-owskich lewicą. Posługując się zaproponowaną przez Kuzia typologią: komunikuje nadzieję na konsekwentne obranie przez Razem ścieżki lokalistycznej, a być może – w dalszej perspektywie – także pewien sojusz prawicowych i lewicowych lokalistów w konfrontacji z globalistycznym

establishmentem. „Mielibyśmy z taką lewicą parę wspólnych spraw do przeprowadzenia” – pisze Lisiewicz i podkreśla, że różnice w stosunku do Stanów Zjednoczonych czy roli Kościoła nie muszą wcale być przeszkodą „we wspólnym pozabawianiu przywilejów rządzącej Polską kasty”.

Jednak co najmniej kilka czynników powoduje, że taki scenariusz wydaje się dziś mało prawdopodobny. Popularne na prawicy mity o lokalizmie Razem nie wytrzymują bowiem konfrontacji z rzeczywistością.

Mit nr 1: chodzi o szwaczki, nie o feministki

W kampanii wyborczej Partia Razem konsekwentnie starała się kłaść nacisk niemal wyłącznie na kwestie sprawiedliwości społecznej i skutecznie uciekała od światopoglądowych deklaracji w sferze obyczajowej. To z pewnością mądra taktyka, gdy pierwszym wyborem większości gospodarzo wykluczonych jest partia posługująca się konserwatywno-katolicką retoryką, a realne poglądy większości przedstawicieli potencjalnej bazy wyborczej gospodarczej lewicy trudno uznać za postępowe.

Choć jednak kwestii światopoglądowych działacze Razem w kampanii wyborczej nie eksponowali, to jednak ostatecznie zdecydowali się na programowy *coming out* również w tej dziedzinie. Na dwa tygodnie przed głosowaniem opublikowali „Kartę praw LGBT”, w której opowiedzieli się za równością małżeńską par homoseksualnych, z prawem do adopcji włącznie.

Również choćby pobieżne zapoznanie się z sylwetkami liderów Razem wystarczy, by dostrzec, że za maskami bojowników

o prawa pracownicze kryją się przedstawiciele awangardy lewicowego postępu. Rzućmy okiem na oficjalne biogramy członków władz tej formacji. Aleksandra jest *psycholożką*, Iza – *kulturoznawczynią*, Marcelina – *polityczką społeczną*, a Joanna – *trenerką antydyskryminacyjną*. Justyna chodzi na *blokady eksmisji i parady równości*, Barbara *organizowała krakowskie Manify*, Magda jest *feministką z przekonania*, a Iza – *feminizm ma we krwi...*

Taka samoidentyfikacja oczywiście nie dziwi, a powyższa wyliczanka nie ma na celu nikogo oburzyć. Trudno przecież o lepsze miejsce dla lewicowej samoidentyfikacji niż lewicowa partia. Wymaga jednak przywołania, bo wyraźnie pokazuje, że kwestie kulturowe są – wbrew przedwyborczej retoryce – dla twórców Razem co najmniej tak samo istotne, jak kwestie gospodarcze.

Mit nr 2: lewica partyjniactwem nieskalana

Razem to podobno pospolite ruszenie ludzi w polityce nowych, którzy dotychczas partyjną robotą na zdominowanej przez postkomunistów lewicy się nie parali. W tym miejscu trzeba odnotować, że istotna grupa czołowych działaczy Razem wywodzi się ze stowarzyszenia Młodzi Socjaliści, nazywanego przez nich samych „młodzieżówką bez partii”. Organizacja pozycjonująca się na lewicowej opozycji do establishmentowego SLD przez lata organizowała manifestacje i formowała młodych działaczy.

Faktem jest, że rozwiązane wraz z powstaniem Razem stowarzyszenie partią nie było. Jednak charakter tej organizacji każe powątpiewać w ideowo „niepostkomunistyczny” profil nowej formacji. Głównym

sponsorem działań młodzieżówki była bowiem Fundacja Róży Luksemburg, fundacja polityczna wprost związana z niemiecką partią Die Linke, będącą kontynuatorką działalności enerdowskiej Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec. Obok Młodych Socjalistów niemieccy postkomuniści mieli w Polsce jeszcze jedną istotną grupę beneficjentów: najbardziej zatwardziały, postkomunistyczny beton zrzeszony w politologicznym piśmie „Forum Klubowe”. Na łamach wywodzącego się z klubów dyskusyjnych SLD periodyku spotykali się byli pezetpeerowcy i zatwardziali antyklerykałowie.

Na dwa tygodnie przed wyborami Partia Razem opublikowała „Kartę praw LGBT”, w której opowiedziała się za równością małżeńską par homoseksualnych, z prawem do adopcji włącznie

Warto też przypomnieć, że najbardziej rozpoznawalni działacze nowej formacji mają za sobą całkiem bogatą kartę partyjnego zaangażowania. Adrian Zandberg nie tylko jako 22-latek publikował wraz z Jackiem Kuroniem w „Gazecie Wyborczej”, ale też w 2000 roku wspierał w kampanii prezydenckiej Piotra Ikonowicza oraz działał w Unii Pracy i Unii Lewicy III RP. Młodsza od niego o dekadę Marcelina Zawisza kierowała sztabem Joanny Erbel, gdy ta z rekomendacji Zielonych ubiegała się o prezydenturę Warszawy.

Wśród mniej rozpoznawalnych medialnie liderów Razem znajdziemy wiele osób, które w swojej karierze działały w różnych – zwykle ideowych i niszowych – lewicowych formacjach.

Mit nr 3: Lewica lokalistyczna

Umiarkowanie ciepłemu przyjęciu Razem przez część prawicy towarzyszy też wiara, że partia ta, w przeciwieństwie do większości dotychczas dominujących na polskiej scenie lewicowych formacji, będzie akcentowała wątki bliskie lewicy niepodległościowej. Że wyrzeknie się tępego euroentuzjazmu i bezmyślnego kserowania zachodnich rozwiązań społecznych i gospodarczych. Wreszcie, że – z powodów ideowych bądź taktycznych – będzie starała się myśleć w kategoriach interesu narodowego.

Związki działaczy Razem z niemieckimi postkomunistami są jedynie poszlaką podważającą ten mit, o wiele zaś poważniejszych wątpliwości dostarczają znów biogramy działaczy partii. Zandberg wprost mówi, że „dokłada starań, żeby Polskę nieco do Danii upodobnić”. Członkini Rady Krajowej partii Barbara Bielawska chwali się nawet współpracą z Ambasadą Wenezueli. Inny członek tego gremium, Tomasz Warzocha, deklaruje, że „próbuję od niedawna praktykować w Polsce lewicowość przywiezioną z Włoch”...

Znów – trudno mieć pretensje, że poszukiwacze optymalnych polityk lewicowych szukają inspiracji w doświadczeniu lewic europejskich. Jednak z perspektywy prawicy oczekującej lewicy „tutejszej”, rozumiejącej polską specyfikę i suwerennej intelektualnie, zarówno powyższe zestawienie, jak i wyraźne inspirowanie się przez Razem hiszpańskim Podemos, musi być rozczarowaniem. Programowo, tak-

tycznie, a nawet wizerunkowo Razem garściami czerpie właśnie z partii powstałej na bazie iberyjskich Oburzonych.

Wreszcie przyjęcie przez działaczy partii niemądrej, a obowiązującej na Zachodzie doktryny *no platform*, wykluczającej możliwość dyskusji z przedstawicielami Ruchu Narodowego, świadczy o tym, że kopiowanie zagranicznych wzorców odbywa się w sposób bezkrytyczny i ze szkodą dla jakości debaty publicznej. Ta pułapka *kserolokalizmu* najmocniej podważa chyba wiarę w to, że w dłuższej perspektywie w Razem mogą dominować inspiracje PPS-owskie, spółdzielcze czy – szerzej – kojarzone z polskim ruchem lewicy niepodległościowej. Obecność w retoryce partii wątków rodem z „Nowego Obywatela” wydaje się bowiem co najwyżej swojskim kwiatkiem do importowanego kozucha.

Mit nr 4: Partia mas, a nie elit

Ostatnia kwestia warta szerszego omówienia stanowi raczej problem dla działaczy i sympatyków Razem niż dla jej prawicowych obserwatorów. Sami zaangażowani nie ukrywają bowiem, że w praktyce w ogromnym stopniu są dziś formacją wielkomiejską: zdominowaną przez absolwentów prestiżowych liceów, studentów modnych humanistycznych kierunków, NGO-sowy *projektariat* i lewicujących akademików.

Do tego stopnia, że gdy Razem chciała pochwalić się twarzą ludu pracującego, skończyło się małą internetową aferą. Górnik, którego wizerunek i deklarację poparcia dla Razem wykorzystano w oficjalnych materiałach promocyjnych partii, okazał się prywatnie – eufemistycznie rzecz ujmując – sceptycznie nastawiony do imigrantów i homoseksualistów.

Gdy spojrzeć na powyborczą mapę Polski, wyraźnie widać, że Partia Razem odnotowała większe poparcie na bogatym zachodzie, mniejsze zaś: na biedniejszym wschodzie Polski. Co jednak z punktu widzenia powyższej tezy najistotniejsze, głównymi ośrodkami poparcia dla Razem są duże miasta. Próg 4 proc. (przy ogólnokrajowym poparciu 3,62) partia przekroczyła tylko w 9 z 41 okręgów: są to okręgi obejmujące duże miasta (Warszawa, Wrocław, Łódź, Poznań, Szczecin) oraz 3 okręgi województwa śląskiego (z Katowicami, Gliwicami i Sosnowcem).

Sami działacze nie ukrywają, że w ogromnym stopniu są dziś formacją wielkomiejską, zdominowaną przez absolwentów prestiżowych liceów, studentów modnych humanistycznych kierunków, NGO-sowy „projektariat” i lewicujących akademików

Patrząc na ten problem szerzej: im bardziej Razem będzie akcentowała, tradycyjną dla lewicy III RP, globalistyczną agendę (a to, że ją widać, wiemy już z konfrontacji z pierwszym z mitów), tym trudniej będzie jej zejść bliżej konserwatywnych, a gorzej sytuowanych obywateli. Przewyciężenie tego problemu wymagałoby... realnej rotacji kadr partii. Tak,

by osoby podzielające gospodarcze poglądy Razem, ale rozmiijające się z dzisiejszą linią światopoglądową formacji, były w niej reprezentowane i miały wpływ na jej stanowisko w tej dziedzinie.

To zaś nie tylko teoretycznie wydaje się utopią, ale też w politycznej praktyce okazało się niemal niemożliwe. Przed analogicznym problemem stały bowiem ruchy miejskie ([o czym pisał dla CA KJ Krzysztof Mazur](#)), z których zresztą również wywodzi się wielu działaczy Razem. Tam jeszcze niedawno mówiło się o „miasotopoglądzie”, który pozwala zostawić na boku różnice światopoglądowe i walczyć o dobro małej ojczyzny. Szybko doszło do pęknięcia i okazało się, że wspólne robienie polityki przez ludzi o radykalnie różnych systemach wartości jest pobożnym życzeniem.

Między Petru a Biedroniem

Partia Razem istnieje zaledwie od kilku miesięcy, więc opisane powyżej tendencje mają szansę w ciągu czterech lat się odwrócić. Osobiście sędzę, że wobec działań innych graczy sceny politycznej, wśród działaczy spod fioletowego sztandaru za jakiś czas pojawi się autorefleksja i korekta w stronę bardziej lokalistycznego kursu. Z jednej strony umacniająca się .Nowoczesna – mająca na pokładzie również lewicowe posłanki wywodzące się z bliskich Razem ruchów miejskich – samodzielnie bądź w sojuszu z innymi partiami opozycyjnymi będzie monopolizować postępowy kulturowo elektorat. Z drugiej strony realnym zagrożeniem dla Razem w perspektywie roku 2019 może być nowa formacja lewicowa stawiająca na *obyczajówkę*, a budowana na fundamencie budżetowych subwencji dla również pozaparlamentarnej Zjednoczonej Lewicy. W roli jej poten-

cyjnych liderów obok Barbary Nowackiej widziałbym – niezależnie od siebie budujących obecnie swą pozycję – Roberta Biedronia i Adama Bodnara.

Taka – dziś będąca jedynie śmiałą prognozą – ewolucja sceny politycznej, wraz z ewentualnym topnieniem poparcia dla socjalizującego gospodarzo PiS-u, może przekierować Razem na inne tory. Nie wierzę jednak w autentyczność ewentualnej przemiany: wydaje się bowiem, że tak jak genetycznie ruchy miejskie okazały się lewicowe, tak nowa lewicowa formacja nie pozbędzie się genetycznego globalizmu.

Trzy łyżki miodu w beczce dziegciu

Niniejsza analiza jest próbą rozprawienia się z popularnymi mitami na temat Partii Razem, nie zaś jej fundamentalną krytyką. Z perspektywy konserwatywnego republikanina formacja ta jest bowiem – mimo wszelkich wyżej opisanych wątpliwości – najlepszą politycznie istotną lewicą, na jaką dziś Polskę stać. W krytyce centralistycznego modelu rozwoju państwa, przeciwdziałaniu dominacji ponadnarodowych koncernów w polskiej gospodarce, potrzebie docenienia spółdzielczości czy zapobieganiu pozaprawnej erozji wpływów podatkowych – jesteśmy w stanie wskazać punkty wspólne republikańskiej prawicy i Partii Razem. Wynika to pewnie bardziej z bliskości pokoleniowej niż ideowej, ale i tak jest godne odnotowania.

Skoro więc podobieństwa istnieją, warto zastanowić się, co faktycznie dobrego w Partii Razem mogło urzec wielu młodych konserwatystów. Są bowiem w krótkiej historii tej partii nie tylko mity, które należy obalać, ale też rzeczy godne uznania, a czasem wręcz naśladowania.

Po pierwsze, lewicowcy nie przestraszyli się polityczności. Od czasów powstania Platformy Obywatelskiej większość nowych inicjatyw politycznych jak diabeł święconej wody bała się nazwania partią. Jako „stowarzyszenie” czy „ruch społeczny” powstawała nie tylko PO, ale też secesjonistyczne z PiS: Polska XXI i Polska Jest Najważniejsza, inicjatywy odchodzących z Platformy: Janusza Palikota i Jarosława Gowina, wreszcie .Nowoczesna i Ruch Kukiza. W polskiej debacie pokutuje szkodliwe przeświadczenie, że Polacy z definicji nienawidzą partii i że warunkiem sukcesu ma być schowanie partyjnych ambicji za obywatelskim sztandarem. Oczywiście – poza politycznie najświeższym w stawce Kukizem – wszyscy liderzy szybko przekonywali się, że do partyjnej roboty służą partii i rezygnowali z tej fikcji. Fakt, że działacze Razem nie dali się złapać na ten haczyk, dobrze o nich świadczy. Sądzę, że entuzjazm wielu rozgarniętych prawicowców dla Razem wynika po części z faktu, że młode i intelektualnie prężne środowiska republikańskiej prawicy wciąż nie potrafią wybić się na polityczną podmiotowość i pozostają w strefie komfortu „bezstronnych obserwatorów” i „niezależnych komentatorów”. Odważna polityczność Partii Razem budzi szacunek.

Po drugie, Partia Razem dba wciąż o tematyczną różnorodność. Gdy media i cała polityczna opozycja grudzień spędziły na mało konstruktywnym pojękiwaniu o końcu demokracji i zamachu na Konstytucję, Razem – choć nie pozostawała bierna wobec kryzysu wokół Trybunału Konstytucyjnego – przynajmniej w wymiarze propagandowym akcentowała wiele innych problemów polskiego życia publicznego. W ostatnim miesiącu 2015 roku lewicowcy protestowali wraz z pracowni-

kami Polskiego Busa i Biedronki, rozwijali współpracę z OPZZ, krytykowali nowelizację prawa łowieckiego i regulacje dotyczące inwigilacji obywateli, brali udział w antyrasistowskich manifestacjach... Oczywiście, taka różnorodność działań naraża partię na krytykę analogiczną do przedstawionej w pierwszej części tekstu. Jednak fakt, że 16 grudnia działacze Razem przypomnieli zarówno o rocznicy zabójstwa prezydenta Narutowicza, jak i o zbrodni w kopalni „Wujek”, co najmniej na poziomie symbolicznym należy docenić. To dobra odmiana w szampowym, do bólu przewidywalnym i intelektualnie wyjąłwiającym świecie polskiej polityki.

Po trzecie wreszcie, Razem konsekwentnie stara się działać jako formacja demokratyczna i pluralistyczna. Świadomie nie zdecydowała się na jednego lidera, lecz na kolegialny zarząd. Stara się eksponować różne twarze. Udowodniła – analogicznie do kwestii rzekomej antypartyjności Polaków – że lepszy od przewidywań wynik wyborczy można osiągnąć także bez nazwiska rozpoznawalnego lidera w nazwie komitetu wyborczego.

W tych kilku symbolicznych, ale nie nieistotnych obszarach, Partia Razem skutecznie udowodniła, że rzeczywiście inna polityka jest możliwa.

PiS – ekipa stąd



STEFAN SĘKOWSKI

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
dziennikarz „Gościa Niedzielnego”

Rządzi nami lewica? Wolne żarty: PiS to podręcznikowy przykład lokalizmu. W prawicowo-populistycznym wydaniu

Kiedy Jarosław Kaczyński pochwalił książkę Thomasa Piketty’ego *Kapitał w XXI wieku* – czołowe neomarksistowskie wydawnictwo obecnych czasów – wielu prawicowców doznało szoku. Ale Prawo i Sprawiedliwość przyzwyczyło nas do haseł „Polski solidarnej”, więc i propozycje opodatkowania banków i hipermarketów czy zapowiedzi pomocy dla nierentownych kopalń nikogo raczej nie dziwią. Tu i ówdzie znów zaczęto za to odgrzewać mit PiS jako partii lewicowej. Czy jest nią rzeczywiście? Warto się nad tym zastanowić – nie tylko w ramach intelektualnej zabawy znudzonych politologów, lecz także – przede wszystkim – po to, by zrozumieć, kto nami rządzi, a w ostatecznym rozrachunku również... jaka jest Polska.

Klasyczny socjalizm?

Opinia o rzekomej lewicowości PiS wynika z dość uproszczonego podejścia do podziału na lewicę i prawicę, który nadal pokutuje w naszej świadomości. W największym skrócie prawica ma charakteryzować się konserwatyzmem w tematyce

światopoglądowej (*de facto* prowadzącej się do kwestii „okołorozporkowych”) i liberalizmem gospodarczym, lewica zaś, przeciwnie: moralnym „progresywizmem”, by nie rzec: przyzwoleniem na permissywizm, i podkreślaniami silnego wpływu państwa na gospodarkę oraz konieczności pełnienia przez nie szerokich funkcji wsparcia socjalnego. Gdzieś pomiędzy miałyby się znajdować liberalizm/libertarianizm i, jako jego przeciwieństwo, ogarniający wszelkie funkcje życiowe człowieka totalitaryzm.

Czy, zostawiając na boku tematykę kościelno-obyczajową (którą moim zdaniem PiS traktuje w pełni instrumentalnie), można umieścić ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego na lewej osi? Mówiąc wprost: czy PiS to socjaliści? Czytając różne materiały programowe tej partii – czy to jej program, czy broszurkę konferencyjną z Konwencji „Myśląc Polska”, czy wreszcie *expose* premier Beaty Szydło, można odnieść takie wrażenie. PiS proponuje rozwiązania mające wzmocnić siatkę bezpieczeństwa dla najsłabszych, takie jak program „500+” czy darmowe

leki dla seniorów (zresztą w niepełnej wersji, bo – jak wiemy od ministra zdrowia – hasła wyborcze muszą być krótkie), a także ponowne obniżenie wieku emerytalnego, postulat należący do kanonu żądań ruchu robotniczego. PiS chce zmienić również regulowanie stosunków pracy, walczyć z „umowami śmieciowymi” i wprowadzić godzinową płacę minimalną, jakby idąc za postulatem od lat głoszonym przez środowiska tworzące dziś na przykład Partię Razem.

**Kaczyński z jednej strony
wzoruje się na Orbánie,
z drugiej zaś kontynuuje
kierunek, w jakim szły rządy
PO–PSL**

W tej litanii brakuje jednak podstawowego postulatu klasycznych socjalistów: uspołecznienia środków produkcji. Nie da się pod to podciągnąć wypowiedzi ministra Pawła Szałamachy, jakoby skończył się czas wielkich prywatyzacji. Zdecydowana większość jeszcze jakiś czas temu państwowych przedsiębiorstw już jest w rękach prywatnych, a te, które pozostały państwowe, są w dużej mierze traktowane jako działające w „branżach strategicznych”. Samo istnienie tego pojęcia wskazuje, że owe „branże” są pewnym wyjątkiem od reguły, wedle której przedsiębiorstwa powinny być prywatne i podlegać logice rynku, a jedynie niektóre z nich (na przykład sektor energetyczny) należy, z uwagi na szczególne potrzeby, traktować inaczej. Większość rozwiązań proponowanych przez PiS ma być realizowana

nie na drodze bezpośredniej aktywności państwa, ale poprzez wsparcie za pomocą nowej, lepszej spółki Polskie Inwestycje Rozwojowe (PIR), tym razem pod nazwą Inwestycje Polskie, czy przez kolejny program mieszkaniowy, znów – związany ze wsparciem akcji kredytowej.

Nauki znad Balatonu

Z *expose* Beaty Szydło aż tryska wiara w to, że stosowanie instrumentów propopytowych ma pozytywny wpływ na tak hołubiony przez panią premier rozwój. Czy zatem PiS to keynesiści? Jeszcze w latach 60. XX wieku Milton Friedman (ten Milton Friedman!) powiedział, że „w pewnym sensie teraz wszyscy jesteśmy keynesistami”, toteż w jakimś sensie są nimi z pewnością także politycy PiS. Ten „keynesistowski zwrot” widoczny jest w dobie kryzysu finansowego zresztą nie tylko w Polsce, ale także w USA czy w strefie euro. Jeśli zaś chodzi o Polskę, warto poczekać do czasu wybrania nowych członków Rady Polityki Pieniężnej przez zdominowane przez PiS sejm i senat – wtedy okaże się, na kogo stawia Jarosław Kaczyński. Dotychczas spośród zgłoszonych w sejmie i senacie kandydatów tylko u prof. Jerzego Kropiwnickiego można wskazywać silnie keynesistowskie inspiracje.

To właśnie personalne nominacje PiS w największym stopniu zadają zawsze kłam twierdzeniom, jakoby ta partia była lewicowa. Ministerstwem Finansów kieruje przecież Paweł Szałamacha, były członek Unii Polityki Realnej, do dziś uchodzący w partii Kaczyńskiego za liberała, a Ministerstwem Rozwoju były szef banku BZ WBK, Mateusz Morawiecki. Zresztą przecież już podczas poprzednich rządów PiS finansami państwa zajmowała się Zyta Gilowska, która w rządzie „Polski

solidarnej” obniżyła liczne podatki, a podatek spadkowy w praktyce zlikwidowała. Trzeba jednak powiedzieć, że jej liberalna polityka nie była konsekwentna, bowiem za tymi obniżkami nie poszły szczególne cięcia wydatków.

W planach PiS brakuje podstawowego postulatu klasycznych socjalistów: uspołecznienia środków produkcji

I właśnie dlatego korzeni gospodarczej polityki PiS nie szukałbym ani w Trewirze, ani Cambridge, lecz w Budapeszcie, gdzie Victor Orbán od 2010 roku realizuje swój projekt „nieortodoksyjnej polityki gospodarczej”. Premier Węgier potrafi przy tym połączyć wymyślenie kilkudziesięciu nowych podatków z sukcesywnym dążeniem do likwidacji PIT i wspierać rodzime firmy przy jednoczesnym obciążaniu dodatkowymi kosztami zagranicznych koncernów. Cel, jaki oficjalnie mu przyświeca, to budowa i wsparcie węgierskiej klasy średniej. Efekty są mocno dyskusyjne, ale jedno trzeba przyznać: rozwiązania, które wdraża Orbán, nie dają się zaszufladkować.

Żeby było ciekawiej, Kaczyński z jednej strony wzoruje się na Orbánie, ale z drugiej... kontynuuje kierunek, w jakim szły rządy PO–PSL. Donald Tusk (i w swoim epizodzie także Ewa Kopacz) realizował politykę, która w bardzo wielu miejscach była zaprzeczeniem „idei gdańskiego liberalizmu”. Jako przykład można wymienić choćby przejęcie części aktywów

OFE i zmiany wprowadzone w systemie emerytalnym, a także oskładkowanie części umów cywilnoprawnych. To wtedy powstał PIR, a jako jedną z głównych swoich zasług rząd PO–PSL podawał ściąganie do Polski miliardów euro funduszy europejskich. PiS i PO łączy identyczne wręcz podejście do płacy minimalnej. Różnica między nimi polega przede wszystkim na tym, że za czasów PO „nieortodoksyjną politykę” prowadzono bardzo ostrożnie i niejako pod przymusem zmieniającej się sytuacji (i często sięgając po nieodpowiednie rozwiązania). Tymczasem Kaczyński nie bierze jeńców: nowy kierunek polityki jest obrany celowo i z rozmysłem, a jeszcze w 2015 roku doczekaliśmy się nowelizacji budżetu przewidującej spory wzrost wydatków, m.in. na program „500+”.

Partia nieortodoksyjna

Ta zasadnicza różnica wynika z tego, że mimo głoszonych wcześniej mocno (neo)liberalnych poglądów Donald Tusk, a za nim wierchuszka PO, nie miał innej wizji Polski niż łagodny dryf po rzece gospodarki zasilanej dopływami euro. Kaczyński, jak twierdzą jego liczni byli współpracownicy, nie ma poglądów gospodarczych, ale polityczne. Zdaje się jednak mieć przy tym jasne wyobrażenie, jaka ma być Polska. Przede wszystkim równomiernie rozwijająca się i idąca w obranym przez światłego lidera kierunku – w czym ma pomagać „oświecony centralizm”. W tej wizji paternalistyczne państwo jawi się jako dobrodziej, wspierający tych, którzy nie potrafią sobie sami poradzić, a jednocześnie pozwalający „bawić się” tym, którzy chcą się zajmować działalnością gospodarczą. Za prawicowo-populistycznymi sloganami kryją się typowi lokalisci,

którzy – jak kilka numerów temu pisał w „Nowej Konfederacji” Michał Kuź – w przeciwieństwie do globalistów „wybierają suwerenność w ramach tradycyjnych podmiotów politycznych i są zwolennikami zahamowania gospodarczej globalizacji. Zachodni lokaliści wyróżniają się zaś jeszcze dodatkowo tym, że dla większości z nich suwerenność to również suwerenność ludu, a nie tylko państwa, odwołują się więc do idei demokracji przeciwko oświeconemu technokratyzmowi”. I chyba nie tylko zachodni – wystarczy zwrócić uwagę na język, jakim politycy PiS (wspierani ochoczo przez Kornela Morawieckiego) mówią o roli Trybunału Konstytucyjnego, podrzędnej wobec wyrażającego wolę narodu/społeczeństwa/ludu (wersje się zmieniają) Parlamentu.

Choć w środowisku Porozumienia Centrum i obecnie PiS tendencje etatystyczne – w ramach lokalistycznego paradygmatu – zawsze były silne, to jednak nie jest wcale powiedziane, że do takiej postawy można dojść jedynie od tej strony. W sejmie można wskazać także inne ugrupowanie lokalistyczne – Kukiz’15, którego afirmatywne stanowisko wobec podatku bankowego prezentował z trybuny były członek Stowarzyszenia KoLiber i znany z wolnorynkowych poglądów ekonomista, Rafał Wójcikowski. Po przeciwnej stronie mamy zaś globalistyczną koalicję słabnącej

PO, neoliberalnej .Nowoczesnej i socjaldemokratyzującej Zjednoczonej Lewicy. Przejęcie władzy przez tak „nieortodoksyjne” ugrupowanie jak PiS – przy jednoczesnym wypadnięciu z sejmu postkomunistów – unieważniło stare podziały na postkomunę i postsolidarność i zarazem uniemożliwiło wpadnięcie w przestarzały, europejski podział prawica–lewica.

Ekonomia to nie szwedzki stół

Czy nowy podział wyjdzie nam na zdrowie? Na pewno bardziej odpowiada on naszej, ukształtowanej przez historię, rzeczywistości i peryferyjnej roli, jaką Polska odgrywa w Unii Europejskiej i na świecie, niż akademicki podział na prawicę i lewicę. Niestety, zakochanie we własnej gospodarczej heterodoksyjności może doprowadzić do traktowania ekonomii jako szwedzkiego stołu, z którego bez konsekwencji można dobierać na talerz coraz to nowe dania. A bez względu na to, czy jesteśmy opętani dogmatami, czy jednak potrafimy myśleć elastycznie, w ostatecznym rozrachunku budżet musi się spinać, nawet najbardziej hołubieni polscy przedsiębiorcy złamią się pod naciskiem fiskalnego kolana, a zagraniczni inwestorzy nie będą chcieli budować w „zielonym polu” tam, gdzie prawo może się zmienić w ciągu kilku dni, bo tak sobie zamamialiśmy.

Koniec lewicy, jaką znaleźliśmy



RAFAŁ MATYJA

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Postkomunizm nie był poglądem na świat, ale trwaniem struktur i powiązań ukształtowanych przez władze epoki PRL. I nie chodzi tu o elektorat, ale o polityczną bazę, która umożliwiła postkomunistom przetrwanie i rozbudowę struktur

Lewica i prawica nie są produktem ideowych laboratoriów. Są żywiołami politycznymi, które karmią się ideami, konfliktami interesów i zmianami perspektyw pokoleniowych i które zdobywają popularność, odnosząc się do świata symboli i wykorzystując różnice religijne i napięcia obyczajowe. Klęska lewicy postkomunistycznej w wyborach 2015 roku to z pewnością koniec lewicy, do jakiej przyzwyczailiśmy się przez ostatnie 25 lat. Można jednak przypuszczać, że zastąpi ją inna „lewica realna”, która – jeśli będzie chciała wygrywać – nie będzie mogła się trzymać żadnego wypracowanego w laboratorium idei wzorca. I która – być może – będzie odbiegać od wzorca „lewicowości” w tym samym stopniu, co partia Leszka Millera.

Dlatego moim zamiarem nie jest analiza rozmaitych definicji lewicowości, ale postawienie pytania o to, jakie oblicze może mieć siła, która będzie w przyszłości alternatywą dla prawicy i liberalnego centrum. Zakładam też – co nie jest pewne – że po klęsce Sojuszu Lewicy Demokratycznej pojawiła się możliwość zbudowania

formacji nie nawiązującej organizacyjnie, kadrowo i politycznie do jego dorobku. Jest to wreszcie tekst pisany z ideowego dystansu, proponujący – zamiast najbardziej prawdopodobnej prognozy – jedno z możliwych rozwiązań obecnych problemów lewicy.

Krajobraz po klęsce

Fakt, że Sojusz Lewicy Demokratycznej znalazł się poza parlamentem, nie jest wyłącznie skutkiem wielkich procesów, trendów ideowych czy zmian postaw. Długotrwała wojna Millera z Palikotem w Sejmie VII kadencji, wystawienie prezydenckiej kandydatury Magdaleny Ogórek, a wreszcie zarejestrowanie Zjednoczonej Lewicy jako koalicji, czyli podniesienie na własne życzenie wyborczego progu z 5 na 8 procent – to tylko kilka z błędów, które przyczyniły się do klęski. Na ostatnim okrążeniu liderów lewicy zgubiła wiara w magnetyczne właściwości Barbary Nowackiej, mającej przyciągnąć tych wyborców, których nie przekonali do siebie Mil-

ler i Palikot. Dodajmy do tego czynniki nieomal losowe, na które politycy ZL wpływu nie mieli: pojawienie się partii Razem i zaskakująco dobry występ Adriana Zandberga w debacie liderów czy mobilizacja wyborców Kukiza, których udział w wyborach podniósł frekwencję i utrudnił przekroczenie 8-procentowego progu.

Świeżość w polityce zużywa się najszybciej, a drugiego atutu w ciągu kilku powyborczych tygodni partia Razem ze swojej talii kart nie wyciągnęła

Tak czy inaczej – niewiele brakowało, by lewica uzbierała brakujące pół punktu procentowego i wprowadziła do Sejmu 29-osobowy klub. A wówczas trudniej byłoby mówić o jej klęsce. Gdyby ZL weszła do Sejmu, Miller i Barbara Nowacka byłiby zapewne lepszymi polemistami PiS niż Sławomir Neumann i Ewa Kopacz i mogliby stać się beneficjentami kryzysu politycznego w stopniu podobnym do formacji Ryszarda Petru. Co więcej, wejście lewicy do Sejmu pozbawiłoby Prawo i Sprawiedliwość większości i zmusiło tę partię do zawarcia jakiejś trudnej koalicji.

Jednak sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły. Porażka SLD oznacza koniec lewicy, której siła polegała na udanym zmobilizowaniu zasobów zbudowanych w końcówce PRL. Koniec ugrupowania zbudowanego przez Mieczysława Rakowskiego, Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera. Mimo siły, jaką dysponowało

ono w pierwszych kilkunastu latach Trzeciej Rzeczypospolitej, nie udało mu się przystosować do nowych czasów. Nie powiodło się też przekazanie przywództwa następnemu pokoleniu.

W cieniu postkomunizmu

Do wyborów 2015 roku obowiązywała zasada, dawno temu sformułowana przez Bronisława Łagowskiego, mówiąca o tym, że innej skutecznej i trwałej lewicy niż postkomunistyczna w Polsce nie będzie. Postkomunizm nie był bowiem poglądem na świat, ale długim trwaniem struktur, powiązań i lojalności ukształtowanych przez władze epoki PRL. I nie chodzi tu o elektorat, ale o polityczną bazę, która umożliwiła postkomunistom przetrwanie i rozbudowę struktur SdRP o ludzi OPZZ, ZNP i innych związków – ludzi, którzy z SdRP zawarli sojusz w najtrudniejszych dla postkomunistów wyborach 1991 roku.

Zbudowana już wtedy przewaga w znaczącej mierze przyczyniła się do zmarginalizowania lewicowych ugrupowań mających swe źródła w opozycji demokratycznej – Polskiej Partii Socjalistycznej i Solidarności Pracy. Nie bez znaczenia był też fakt, że najsilniejsze środowiska lewicy solidarnościowej, związane przede wszystkim z KOR, w roku 1989 dokonały zwrotu ku liberalizmowi gospodarczemu, bardzo osłabiając socjalne skrzydło opozycji. Środowisko to, które później miało współtworzyć Unię Demokratyczną i które nadało ton „Gazecie Wyborczej”, uznało też etykiety lewicowe za taktycznie niewygodne i odmówiło poparcia tworzącemu zręby PPS Janowi Józefowi Lipskiemu i kształtującemu Solidarność Pracy – Ryszardowi Bugajowi.

Jednocześnie środowisko „Gazety” wypracowało obowiązujący szerokie kręgi

opiniotwórcze wzór postawy liberalnej, nieufnej wobec narodowej i katolickiej prawicy, wobec niedorosłego do demokracji i wolnego rynku społeczeństwa. Stworzyło reguły rodzimej wersji poprawności politycznej, do których często odwoływali się nie tylko politycy ugrupowań liberalnych, ale także postkomunistycznej lewicy. Reguły te bywały – w trakcie współpracy między liberalnym skrzydłem dawnej opozycji (UD, UW) a SLD – punktem odniesienia w kwestiach rozliczeń z przeszłością, krytyki „obsesji antykorupcyjnej” czy tworzenia ładu medialnego. Współpraca ta blokowała też możliwość stworzenia wyrazistej alternatywy w polityce gospodarczej, a zarazem osłabiała tendencje dekomunizacyjne i lustracyjne.

Pęknięcie tego porozumienia w wyniku splotu wydarzeń, którym nadano nieco mylącą nazwę „afery Rywina”, otworzyło drogę do marginalizującego SLD przekształcenia systemu partyjnego. Osiem lat spędzonych przez tę partię w opozycji i kolejne zmiany przywództwa nie doprowadziły jednak do zasadniczej zmiany jej formuły. Skoro Olejniczak i Napieralski nie dali partii nowych idei ani nie dotarli do nowych środowisk, po wyborach 2011 roku, w obliczu zagrożenia ze strony Ruchu Palikota, przywództwo oddano ponownie Leszkowi Millerowi.

Lewica akademicka

Dopiero nowe pokolenie – umownie mówiąc „Krytyki Politycznej” – działając z daleka od SLD, ukształtowało inny wzorzec funkcjonowania, bardziej nieufny wobec liberalizmu gospodarczego i skłonny do selektywnego kłusowania establishmentu. Fakt, że za politycznego patrona uznało ono Jacka Kuronia, a nie – ciężącego potem ku PiS – Ryszarda Bugaja, był jednak

symptomatyczny. Istniały bowiem dwie możliwe koncepcje lewicy politycznej. Pierwsza – akcentująca wymiar światopoglądowy i w naturalny sposób trafiająca do lepiej sytuowanych, liberalnych środowisk wielkomiejskich, została zablokowana przez pragmatyczną ofertę Platformy, obiecującej skuteczne zatrzymanie PiS. Drugą – bardziej socjalną, a zatem adresowaną do nieufnych wobec liberalizmu grup gorzej sytuowanych, często mieszkających na prowincji, przyjęła najpierw Samoobrona, a potem – odziedziczyła ją PiS.

Konflikt PO–PiS, który ograniczył pole manewru SLD, sprawił także, „Krytyka” stała się jedynie ośrodkiem fermentu intelektualnego, ale nie politycznego. Nie sformułowała alternatywnej wobec Sojuszu koncepcji funkcjonowania na scenie politycznej. Co więcej, nawet pojawienie się Partii Razem nie wiązało się z jakimś szerszym pomysłem „na Polskę”, lecz było raczej manifestacją młodych wyborców kontestujących nie tylko liberałów i prawicę, ale także coraz bardziej anachroniczną formułę SLD.

Oczywiście, nieco naiwna formuła Razem tchnęła świeżością nie tylko w zestawieniu z polityczną rutyną Leszka Millera i Jerzego Wenderlicha, lecz także ze świetnie już dopracowanymi hasłami partii centroprawicowych i ich medialno-ideowego zaplecza. Świeżość w polityce zużywa się jednak najszybciej, a drugiego atutu w ciągu kilku powyborczych tygodni partia Razem ze swojej talii kart nie wyciągnęła. Nie mogła, jak Barbara Nowacka, pójść na wspólną manifestację z Ryszardem Petru i Tomaszem Siemoniakiem. Nie mogła solidaryzować się z antyestablishmentowym tonem PiS czy nawet Kukiza. Konflikt, który rozgorzał po wyborach, osłabił jej szanse.

Warto jednak nie lekceważyć wyniku list Partii Razem i tego, czego się przy okazji dowiedzieliśmy. Po pierwsze, sukces tej formacji pokazuje, że możliwa jest skuteczna mobilizacja bez udziału mediów. Mam na myśli zebranie liczby podpisów wymaganej do zarejestrowania ogólnopolskich list. Tu nie było przecież żadnego „efektu Zandberga”, był to wynik pracy organizacyjnej wykonanej bez pieniędzy Janusza Palikota czy medialnej popularności Pawła Kukiza.

Po drugie, Razem jest pierwszą po 1989 roku lewicą antyestablishmentową. I pokazuje, że istnieje pewna grupa ludzi, którzy chętnie poprą taki projekt. Co więcej, jak pokazują ostatnie badania, nie jest naturalnym „zapleczem” partii establishmentowych, łatwym do zwerbowania przy pomocy antypisowskiej retoryki. W ostatnim ćwierćwieczu przyzwyczailiśmy się do lewicy broniącej *status quo*, będącej sojusznikiem establishmentu, gwarantującej bezpieczeństwo ludziom najbardziej niedemokratycznego systemu, z jakim mieliśmy do czynienia w XX-wiecznej Polsce. Razem – bez względu na to, jaka będzie jego przyszłość – pokazało, że można zacząć w zupełnie innym punkcie.

Inna lewica jest możliwa

Trawestując wyborcze hasło Partii Razem („Inna polityka jest możliwa”), należałoby powiedzieć, że po upadku SLD możliwa jest inna lewica. Co więcej, w sytuacji, gdy Sojusz nie wykorzystał dziesięciu lat w opozycji, by dokonać przebudowy swojego wizerunku, trudno podejrzewać, że dokona tego w latach kolejnych. Trudno uznać, że sąd o przyszłości lewicy da się wyprowadzić z personalnego i organizacyjnego układu wewnątrz SLD, Ruchu

Palikota, Partii Razem, Zielonych czy Unii Pracy. Więcej – że zarys przyszłych zwycięstw jest obecny w publicystyce ciekawych portali i pism lewicy akademickiej. Innej lewicy – takiej, która nie skończy na zdobyciu uznania jakichś Starszych Państwa: profesorów czy byłych posłów i ministrów – należy szukać w kombinacji czynników ideowych i społecznych o znacznie większej skali.

Szansą nowej lewicy jest raczej poszukiwanie wyborców i sojuszników w kręgach rozczarowanych PiS, a także – antysystemowej prawicy

Przykład SLD pokazuje, że sukces polityczny lewicy nie polega na zaproponowaniu wyborcom laboratoryjnie czystego lewicowego przesłania. Lewica nie ma dziś tradycji i symboli rozpoznawalnych dla szerokiego kręgu jej potencjalnych zwolenników. Ani doświadczenia przedwojenne, ani to, jak zinterpretowano – najważniejsze w ostatnim półwieczu – doświadczenie „Solidarności”, nie stanowią dla niej korzystnego punktu wyjścia. Ponadto – postawienie na „wojnę kulturową”, (co najbardziej pasuje do wizji lewicowości „laboratoryjnie czystej”) może trwale skazywać lewicę na pozostanie radykalnym socjalnie odłamem obozu liberalnego. Jeżeli jego rdzeniem stanie się .Nowoczesna Ryszarda Petru, to – jako że pozbawiona jest skrzydła konserwatywnego (ludzi w rodzaju Marka Biernackiego czy Jarosława Gowina) – łatwiej niż Platforma

pozyska zwolenników obyczajowego liberalizmu. Nawet jeśli nie podejmie w interesujących ich sprawach ofensywy, to będzie postrzegana jako najskuteczniejsza bariera przed PiS.

Szansą nowej lewicy jest raczej poszukiwanie wyborców i sojuszników w kręgach rozczarowanych PiS, a także – antysystemowej prawicy. Wśród wyborców nastawionych antysystemowo, ale z racji symbolicznych lub z powodu przekonań religijnych niebiorących dziś pod uwagę głosowania na Razem. Wiem, że to, co piszę, jest wbrew tradycji kompromisów zawieranych przez lewicę postkomunistyczną i akademicką. Kompromisów z obozem liberalnym, dokonywanych w imię obrony *status quo*. Ale kompromis Zandberga z Petru wydaje mi się dziś bardziej karkołomny niż poszukiwanie sojuszników w środowiskach, które wiązały ogromne nadzieje ze zwycięstwem PiS. Myślę tu o pokoleniu, które nie pamięta nadziei z lat 2004–2005 i ich załamania się po zawarciu przez Jarosława Kaczyńskiego koalicji z Andrzejem Lepperem i Romanem Giertychem. O ludziach, których przekonywała wspólnotowa i obywatelska retoryka PiS. Którzy wiązali i wiążą nadzieje z postulatami społecznymi i gospodarczymi tej partii. Którzy w Prawie i Sprawiedliwości widzieli partię stawiającą ideał naprawy sektora publicznego ponad programem jego prywatyzacji i komercjalizacji.

Oczywiście, dostęp do tych środowisk wymaga dotarcia do ich potencjalnych liderów. Do ludzi, którzy mogliby odegrać podobną rolę jak amerykańscy neokonserwatyści, tyle że zamiast z lewicy na prawicę – przejść w przeciwnym kierunku. Nie myślę przy tym o ludziach zaangażowanych dziś w partyjną politykę, ale o tych, którzy liczyli na otworzenie przez PiS

form uczestnictwa politycznego blokowanych przez PO. Rozczarowanie niekoniecznie musi ich pchnąć w ramiona prawicy korwinowskiej czy narodowej. Jeżeli poszukają innej niż liberalna alternatywy „na lewo” od PiS, mogą ukształtować nie-liberalne centrum, którego naturalnym partnerem będzie lewica. To nie stanie się z dnia na dzień, może nawet nie z roku na rok. Ale jeżeli brać serio deklarowane przekonania, trudno sobie wyobrazić rzeczników demokracji partycypacyjnej, wrażliwej społecznie i zorientowanej na skuteczne powstrzymanie procesów peryferyzacji jako sojuszników Petru, Korwina czy Kaczyńskiego. Mogli uwierzyć wyborczym zapowiedziom Andrzeja Dudy, mogli liczyć na szerokie otwarcie polityczne PiS po zwycięstwie parlamentarnym. Dziś jednak są raczej materiałem na formację innego niż liberalny i establishmentowy sprzeciwu.

To, co bardzo mocno łączy wyborców Razem i część młodego elektoratu PiS, to więc pokoleniowa ludzi, którzy dowiedzieli się, że są „systemowo zbędni” i że ich talenty i pracowitość mogą być wykorzystywane jedynie na marginesach życia publicznego. To związana z tym silna nieufność i niechęć do establishmentu oraz sympatia do rozwiązań partycypacyjnych (na prawicy wywodzona z wartości republikańskich). Wspólne może być też postrzeganie aktywnej roli państwa jako obrońcy przed procesami „peryferyzacji” gospodarczej.

Najistotniejsze różnice dotyczą sfery symbolicznej i religijnej. Młodzi zwolennicy PiS odwołują się do haseł patriotyzmu, są krytyczni wobec lewicowej poprawności politycznej, są też często pryncypialnymi katolikami. Zwolennicy Partii Razem będą krytyczni wobec oficjalnej polityki historycznej PiS, wobec ostentacyjnego szer-

mowania symboliką patriotyczną, a także niechętni wszystkiemu, co uznają za restrykcje obyczajowe motywowane względami religijnymi.

Zabraknie odwagi?

Dla każdego z tych nurtów kusząca będzie „własna droga” skutkująca zapewne pozostawaniem na marginesie systemu partyjnego, ze skromną reprezentacją parlamentarną jako szczytem marzeń. Dostrzeżenie przez lewicę możliwości kompromisu po stronie innej niż wolnorynkowy liberalizm wymagałoby sporej odwagi. Tak samo jak dla części dzisiejszej młodej prawicy zrezygnowanie z szerokiego frontu Polski „katolickiej i patriotycznej”, obejmującego kluby PiS i Kukiza wraz z ich całym intelektualnym i metapolitycznym zapleczem. Ale powstała z ich połączenia lewica społeczna mogłaby zostać liczącym się graczem, przekształcającym istotę konfliktu – z symbolicznego na ekonomiczny – i zmieniającym sposób dyskusji o polskiej peryferyjności gospodarczej. A własny pluralizm kulturowy mogłaby obrócić na zdolność zaproponowania jakiejś wersji możliwego do przyjęcia dla większości Polaków – pokoju religijnego.

Oczywiście powstanie takiej lewicy jest zapewne najmniej prawdopodobnym

scenariuszem. Bardziej realne jest istnienie tej formacji jako socjalnego skrzydła obozu liberalnego. Podobnie jak bardzo prawdopodobne jest istnienie na prawicy republikańskiej mniejszości, która w tekstach metapolitycznych będzie podkreślać swą odrębność, w polityce zaś wybierze unikanie konfliktów i koncentrowanie się na – ważnych przecież – szczegółach.

W obu wypadkach za takim wyborem opowiedzą się działające na zapleczu tych formacji i nadające im ton laboratoria intelektualne, formułujące diagnozy sytuacji, określające sojuszników i wrogów oraz dyktujące kategorie, którymi należy operować w debacie publicznej. Trudno nawet będzie postawić im z tego tytułu zarzut. Sam na pewno go nie wypowiem, bo moje pokolenie w swej większości wybrało wspieranie silnych, a tylko nieliczni jego liderzy próbowali własnej drogi.

Nie sędzę też, by środowiska te potrzebowały mentorów, których ideały da się opisać mianem konserwatywnego instytucjonalizmu. Publicystyka wbrew pozorom polega jednak nie tylko na uporczywej perswazji i zachwalaniu własnego „towaru”, ale także na opisywaniu możliwych, choć mało realnych alternatyw. Zwłaszcza że życie polityczne nie jest serią sequeli, do znudzenia powtarzających jeden i ten sam schemat.

Wiele hałasu w haremie



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Nasza debata głównego nurtu pogrąża się w hiperrzeczywistości. Prawie całą uwagę opinii publicznej absorbuje nieistotny zgiełk. Realne, nieskończenie ważniejsze życie polityczne toczy się w tle

W popularnym serialu *Wspaniałe stulecie*, pokazującym życie osmańskiego seraju w XVI w., haremowe kobiety całe dni spędzają na intrygach. Obrażają, kłamią, zdradzają, manipulują, nawet mordują. Dużo przy tym wielkich słów, krzyków, emocji. Stawką jest pozycja w haremie, najwytrawniejsze z intrygantek mogą zasadnie marzyć nawet o pełnej nad nim kontroli. Wszystko to składa się na niezły thriller polityczny. Ale niewieście wysiłki są zarazem strategicznie trzeciorzędne: niezmiernie rzadko udaje im się wywrzeć wpływ na państwo, podążające własnym, dostojnym rytmem. Całe to kotłowanie, wszystkie te wojenki i zwroty akcji – są w istocie tylko zamieszaniem w tle. Uczestniczki zdarzeń angażuje ono jednak niemal całkowicie, jest ich – mówiąc językiem Baudrillarda – hiperrzeczywistością.

Fantomowa władza

Podobnie jest z polską polityką. Od 1989 roku bodaj ani razu nie sięgnęła ona wyżyn zasługujących na to miano, tj. sa-

modzielnego definiowania i realizacji celów o znaczeniu strategicznym. Reformy Balcerowicza były tylko implementacją zasad Konsensusu Waszyngtońskiego. Nasz ustrój polityczny nie zawiera bodaj żadnego pozytywnie odróżniającego nas od państw zachodnich rozwiązania. Potem było tylko gorzej: od banału bieżącego zarządzania udawało się odejść tylko sporadycznie (Konstytucja, duże reformy Buzka czy likwidacja WSI). Próba przeniesienia polityki na pierwszy plan, w którym działać miała zbudowana wspólnie przez PO i PiS IV Rzeczpospolita, spaliła na panewce.

Najważniejszą przyczyną tej „haremowości” polskiego życia publicznego jest brak państwa z prawdziwego zdarzenia. Władza premiera, w przeciwieństwie do jego odpowiedników w Niemczech, Wielkiej Brytanii itd., jest fantomowa: nie jest on w stanie nawet dowiedzieć się, co dokładnie się dzieje w podległych mu resortach. Tym bardziej nie może ich efektywnie zadaniować ani nadzorować. Nie ma nawet zaplecza pozwalającego

porządnie planować realną politykę, a nawet gdyby je posiadał, nie miałby jak przekuć strategii w decyzje. To tylko wierzchołek góry lodowej: podobnie bezradni są często ministrowie wobec podległych im urzędników. Ale to osobna historia.

Dość powiedzieć, że mamy tak zwyczajnie instytucje publiczne, że o ile życie w Polsce przypomina często „pływanie w kisielu” (jak to określił Rafał Ziemkiewicz), o tyle rządzenie naszym krajem jest jak pływanie w smole. Niewiele człowiek zrobi, za to ubrudzi się co niemiara. Zastąpienie zaś smoły wodą jest niemożliwe bez radykalnych zmian instytucjonalnych. Są liczne dowody na to, że politycy – od Palikota po Kaczyńskiego – doskonale o tym wiedzą. Ale już wśród dziennikarzy i zwykłych obywateli świadomość problemu jest nikła – i dlatego właśnie zmorą polskiej debaty jest ekscytowanie się sprawami trzeciorzędnych, a ignorowanie pierwszorzędnych, o których należałoby politykom nieustannie przypominać i z zajmowania lub niezajmowania się nimi skrupulatnie ich rozliczać.

Nieelegancko, ale legalnie

Warto patrzeć na polską politykę z tej właśnie perspektywy, wyłuskując to, co istotne, i oszczędzając sobie zbędnych emocji i fatygi.

Pierwsze tygodnie rządów PiS zdominował spór o Trybunał Konstytucyjny, w znacznie mniejszym zaś stopniu dyskusja o nowych podatkach, likwidacja służby cywilnej czy przejęcie mediów publicznych. Wielokrotnie padły oskarżenia o „zamach stanu”, „niszczenie demokracji” i rewolucyjne zapędy.

Na kanwie awantury o TK skonfrontujmy fakty z hiperrzeczywistością. Do

czerwca ubiegłego roku wyboru sędziów tego trybunału każdorazowo dokonywał ten sejm, za którego kadencji upływała kadencja sędziego lub sędziów. Do wyboru „na zapas” przymierzał się SLD w 1997 roku, wycofał się jednak pod wpływem krytyki (m.in. prof. Zolla, ówczesnego prezesa TK). To, co nie udało się spadkobiercom PZPR, Platforma Obywatelska bez większego rozgłosu przeforsowała w 2015 roku, wybierając trzech sędziów na miejsce tych, których kadencja upływała w listopadzie, i dwóch „grudniowych” (przy wyborach parlamentarnych 25 października). Dodajmy, że cała odchodząca piątka została wybrana w 2006 roku, czyli za poprzednich rządów PiS. Tym puczem na dobrym obyczaju, chroniącym równowagę partyjną w TK, PO zwiększyła swój „stan posiadania” w Trybunale z 9 do 14 sędziów. Co szczególnie gorszące, dokonała tego we współpracy z częścią sędziów, z prezesem Rzeplińskim na czele. PiS, mające na początku obecnej kadencji tylko jednego „swojego” nominata, do 2019 roku będzie mogło w sądzie konstytucyjnym obsadzić cztery miejsca (z czego jedno to zastąpienie poprzedniego „delegata”), dzięki czemu zwiększy liczbę „swoich” sędziów do czterech.

Jasno z tego wynika, że rezygnując z wyboru więcej niż jednego sędziego spośród pięciu „siłą” osadzonych przez PO, PiS pozbawiłoby się większości w TK aż do końca obecnej kadencji. Oznacza to, że sens miała wyłącznie walka o wszystkich pięciu. PO ułatwiła przeciwnikowi sprawę, wybierając dwóch „grudniowych” sędziów niezgodnie z Konstytucją, a trzech „listopadowych” – wadliwą w opinii wielu prawników uchwałą.

Wbrew niezliczonym wrzaskom stawką gry o TK nie była więc zmiana ustroju, ale po prostu przywrócenie stanu sprzed

PO-wskiego „zamachu” i odzyskanie przez PiS należyj mu możliwości nominowania większości sędziów do 2017 roku. Działania partii Jarosława Kaczyńskiego były chaotyczne, nieeleganckie i chwilami niedbałe, ale zarazem legalne, a co do istoty – zasadne i zrozumiałe.

**Rządzenie naszym krajem
jest jak pływanie w smole.
Niewiele człowiek zrobi, za
to ubrudzi się co niemiara.
Zastąpienie zaś smoły wodą
nie jest możliwe bez
radykałnych zmian
instytucjonalnych**

Podobnie PiS-owska nowela ustawy o TK nie zawierała, wbrew antyrządowej propagandzie, niczego sprzecznego z regułami państwa prawa. Decydowanie większością kwalifikowaną nie jest ewenementem, stosuje je na przykład w niektórych sprawach – uchodzący za wzorcowy – niemiecki Federalny Trybunał Konstytucyjny. Niektórzy prawnicy postulują wręcz wprowadzenie w jego polskim odpowiedniku zasady jednomyślności w ważniejszych sprawach. Czyni tak choćby prof. Artur Ławniczak w książce pod redakcją... ex-doradcy prezydenta Komorowskiego, dr. Moniki Haczkowskiej (*Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej. Komentarz*). Z kolei rozpatrywanie spraw wedle kolejności jest podstawową zasadą tak w sądach powszechnych, jak i w TK. I o ile m.in. różnorodność spraw rozpatrywanych przez te pierwsze uzasadnia jak się wydaje wyjątki od tej reguły, o tyle

trudno znaleźć powód dla uznaniowej władzy prezesa Trybunału w tym względzie. Chyba że za taki powód ktoś skłonny jest uznać możliwość szybkiego zablokowania lustracji czy włączenia się w trwającą akurat awanturę polityczną.

Obozowi antyrządowemu udało się jednak w tej sprawie wciągnąć swoich zwolenników w samonapędzającą się hiperrzeczywistość. Jeśli media swobodnie „rozszerzają” kompetencje TK o orzekanie o czym bądź, łącznie z na przykład uchwałami Sejmu, i zaczynają traktować każdą publicystyczną wstawkę w orzeczeniu (polski Trybunał jest znany z dezynwoltury) jak prawdę objawioną, to po parodiowym powtarzaniu tego typu przekłamań można już odbiorcy wtlaczać „oczywistości” wyższego rzędu, w rodzaju „Prezydent łamie Konstytucję”. To, że jedynie TK może to ostatecznie stwierdzić, i że akurat nie stwierdził, to dla historycznej propagandy nieistotne. Podobnie jak to, że walkowana do bólu kwestia rzekomego wprowadzenia możliwości odwoływania sędziów przez Sejm okazała się medialnym wymysłem.

Warto nadmienić, że obie strony sporu zdają się poważnie przeceniać znaczenie partyjnych nominacji sędziów. Cieszą się oni wielką niezależnością: są nieodwoływalni przez polityków, otrzymują dożywotnie i spore wynagrodzenie, nie podlegają reelekcji. To zaś, że niektórzy z nich zachowują się jak funkcjonariusze partyjni, to chyba jeszcze za mało, żeby „czarne owce” traktować reprezentatywnie.

Jak widać, prostowanie wszystkich przekłamań w samej tylko w sprawie TK zaczyna być już materiałem na książkę. I to jest właśnie *clue* hiperrzeczywistości: można o niej rozprawiać bez końca.

Zamach? Koniec demokracji? Rewolucja? Można się rzecz jasna spierać o po-

szczególne rozwiązania, ale cała ta dramatyczna retoryka to nic więcej jak antypisowska histeria, „haremovy” zgiełk. Można ją interpretować jako cyniczną taktykę biznesową mediów narażonych na utratę intratnych reklam spółek skarbu państwa, do których się za czasów PO przyzwyczały. Ostra polaryzacja i dramatyczny przekaz to zapewne niezły pomysł na wzrost oglądalności czy sprzedaży. Trudniej pojąć rozumowanie opozycji politycznej, jak i wielu prawników, narażających się na groteskową wręcz śmieszność, jeśli tylko PiS zachowa w przyszłości elementarny respekt wobec liberalnej demokracji. Owszem, podważanie prawomocności przeciwnika i rzucanie mu od pierwszej chwili kłód pod nogi jest jakimś sposobem na wizerunkowe zaistnienie. Warto chyba jednak dzisiejszej opozycji przypomnieć (poza niepowagą i niedorzecznością tej metody), że stosowanie takiej taktyki w 2007 roku i później przez PiS na długo zamknęło mu ekspansję poza „twardy” elektorat.

Analogicznie przebiega dyskusja o przejmowaniu przez PiS ministerialnych departamentów i urzędów centralnych, spółek skarbu państwa, mediów publicznych. W rzeczywistości jedyna różnica między podbojem tych wszystkich stanowisk przez partię Kaczyńskiego i przez jego poprzedników dotyczy stylu, a nie istoty rzeczy. PiS działa ostentacyjnie i obcesowo, podkreślając polaryzację i tworząc wokół tych procesów aurę naprawdę poważnych zmian. Ograniczając się do przykładu służby cywilnej: PO przywróciła ją dla pozorów, by następnie i tak obsadzać wyższe stanowiska urzędnicze po uważaniu, obchodząc na różne sposoby oficjalne reguły. PiS tymczasem po prostu ją zlikwidowało, legalizując obowiązujący przez wiele lat stan faktyczny.

Tak samo wygląda desant Zjednoczonej Prawicy na inne sfery życia publicznego. Ci, którzy wiązali z nowym rządem nadzieje na wyższe standardy polityczne, mogą czuć się zawiedzeni. Inni z kolei wzruszą ramionami, mówiąc, że nic nowego się nie dzieje. Jednocześnie żadne fakty nie uzasadniają bicia w dzwony w związku z większym niż wcześniej zaangażowaniem instytucji.

Na razie zawodzą

Można by zbyć cały ten pseudodemokratyczny jazgot zachnięciem, gdyby nie to, że ma on trzy poważne skutki dla Polski. Po pierwsze, impregnuje Polaków na rzeczywiste zagrożenia dla swobód obywatelskich, które zawsze mogą się przecież pojawić. Widać to już dziś na przykładzie nowych przepisów o kontroli operacyjnej. Te prawdziwie i skandalicznie antywolnościowe regulacje pod pretekstem troski o bezpieczeństwo dają strukturom siłowym znacznie większą swobodę w inwigilacji obywateli. Są przy tym bliźniaczo podobne do niedawnego projektu PO, przeciwko któremu zresztą PiS gwałtownie protestowało. Wiadomości o tych zmianach nie trafiły jednak na pierwsze strony gazet, a dla zniechęconych antypisowską histerią mogły po prostu zabrzmieć niewiarygodnie.

Drugie negatywne zjawisko to dyfamacja naszego kraju za granicą. Zachodni dziennikarze powtarzają tezy przeciwników PiS, przenosząc narrację o rewolucji i zamachu stanu poza tutejsze podwórko. To zaś daje niechętnym Polsce zagranicznym graczom instrument nacisku, którego w normalnej sytuacji by nie mieli.

Last but not least, nasza debata głównego nurtu pogrąża się w nowej wersji hiperrzeczywistości. Prawie całą uwagę opinii publicznej absorbuje „haremovy”

zgiełk. Realne, nieskończenie ważniejsze życie polityczne toczy się w tle. Z jednej strony to nic nowego. Z drugiej jednak, PiS wielokrotnie budziło nadzieję na awans polskiej polityki do pierwszej ligi, m.in. poprzez radykalne wzmocnienie władzy wykonawczej czy podmiotową dyplomację. PO zaś po ośmiu latach zarządzania krajem miała predyspozycje do bycia bardzo dobrą, merytoryczną opozycją, bezlitośnie punktującą rząd za każde potknięcie, do czego zresztą nowa władza dostarcza wielu okazji. Obie strony jak na razie zawodzą.

Głównie korekty

Czym powinni się w pierwszym rządzie zająć nasi politycy? Nawet dla najbardziej niepoprawnych optymistów jest już chyba jasne, że ukształtowany po upadku Związku Sowieckiego ład światowy trzeszczy w szwach. Rozsadza go wzrost potęgi Chin, Amerykanie próbują utrzymać *status quo*. Widmo nowej zimnej wojny czy też „gorącego pokoju” – krąży nad światem. Nawet bezapelacyjna wiara w zwycięstwo Waszyngtonu nie uprawnia do błogiej bezczynności, ponieważ globalny porządek już podlega dość dramatycznym lokalnie korektom – na Bliskim Wschodzie, na Ukrainie, na Zachodnim Pacyfiku. Historia wróciła w wielkim stylu, wywołując globalny wyścig o zgromadzenie przed nowym wielkim rozdaniem jak największego potencjału.

To oczywiste, że pozostając w obecnym stanie, Polska będzie w tej grze brała udział na beznadziejnie słabej pozycji. Grozi nam ponowne odegranie roli listka na wietrze, przedmiotu cudzych rozgrywek. Aby to zmienić, potrzeba przede wszystkim trzech rzeczy: budowy sterownego państwa, stworzenia silnej armii i wymyślenia na nowo, a następnie realizacji, polskiej

polityki zagranicznej. Punkt pierwszy jest przy tym warunkiem pozostałych, bo bez realnej władzy politycznej silne wojsko grozi juntą, a dyplomaci będą płatać się sobie nawzajem pod nogami, zamiast działać jak dobra orkiestra.

To oczywiste, że pozostając w obecnym stanie, Polska będzie brała udział w światowej grze na beznadziejnie słabej pozycji. Grozi nam ponowne odegranie roli listka na wietrze, przedmiotu cudzych rozgrywek

W dalszej kolejności potrzebujemy pomysłu na wydobycie się z „pułapki średniego rozwoju”, bez którego najpewniej nie zdołamy przyśpieszyć zbyt powolnego jak na wymogi epoki gromadzenia bogactwa narodowego.

Tymczasem PiS zachowuje się tak, jakby zapomniało o swoim dawnym programie propaństwowym. Od dłuższego czasu hasła wzmocnienia egzekutywy, budowy realnego centrum rządu – schodzą na margines partyjnej agendy. Co gorsza, obecny układ polityczny – ze słabą premier, silnymi ministrami i głównym graczem zarządzającym spoza rządu – nie tylko w żaden sposób nie przelamuje, ale wręcz wzmacnia apaństwowe predylekcje poprzedników.

W polityce obronnej, oprócz widowskich zmian kadrowych, widać na razie jedynie korekty. Podważenie wyboru

nieadekwatnych do polskich potrzeb amerykańskich antyrakiet Patriot to bardzo dobre posunięcie. Warto docenić odważniejsze zabiegi o udział w NATO-wskim programie „współdzielenia nuklearnego” (*nuclear sharing*, obrosłe niestety absurdalnym PR-em). Co do zasady mamy jednak dotychczas kontynuację niewystarczającej polityki obronnej Tomasza Siemoniaka i Bronisława Komorowskiego.

Z kolei polityka zagraniczna od polityki poprzedników różni się jak na razie tylko retorycznie. Na poziomie deklaracji i interakcji werbalnych „Polska wstaje z kolan”. W wymiarze działań nowy rząd prezentuje postawę bliźniaczo podobną do poprzedniego, czy to w kwestii pakietu klimatycznego, czy w sprawie Ukrainy, czy też lewarowania się współpracą z Chinami.

W *expose* premier Szydło znalazły się szumne zapowiedzi sugerujące początek nowej polityki gospodarczej. Zachwyceni tą wizją powinni jednak zważyć, że już PO wyhamowała prywatyzację, przyspieszyła repolonizację banków i mocno postawiła na inwestycje publiczne. I tu mamy więc w rzeczy samej zapowiedź kontynuacji, a nie rewolucji.

Zbudować państwo

Polityka PO nie była doszczętnie zła. W wielu punktach (*nuclear sharing*, repolonizacja, Chiny) zasługuje na podtrzymanie lub niewielkie tylko skorygowanie. Jednak zarzucenie przez PiS planu budowy państwa to kontynuacja najgorszej praktyki III RP, skazującej polską politykę na trzeciorzędność, i marginalizującej Polskę w globalnym wyścigu. Ale to nam umyka, gdy zagłębiamy się w prowincjonalną hiperrzeczywistość.

Pozostaje wierzyć, że nasi politycy z czasem wezmą się jednak za prawdziwą politykę. W szesnastowiecznym Imperium Osmańskim pochodząca z Rzeczypospolitej Rusinka Roksolana przeszła drogę od zwykłej haremowej intrygantki do polityka z krwi i kości, faktycznego wicesułtana o wielkim wpływie na państwo. Z dzisiejszego polskiego „haremu” nie ma dokąd pójść, bo państwo praktycznie nie istnieje. Można jednak – i trzeba – wreszcie je zbudować.

Takiego awansu życzę naszym politykom, Drogim Czytelnikom, sobie i całej Polsce w Nowym Roku.

Pozorna siła polskiego eksportu

Z prof. Jerzym Żyżyńskim
rozmawia Aleksandra Rybińska



JERZY ŻYŻYŃSKI

poseł PiS, ekonomista,
wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego

Polska gospodarka jest w słabej kondycji. Jak samochód, który kręci kołami w piasku, ale nie może ruszyć z miejsca. Wzrost gospodarczy jest iluzją. Mamy stagnację

W tym roku osiągnęliśmy sporą nadwyżkę w handlu zagranicznym. Według niektórych ekspertów to „nowa rzeczywistość” w polskiej gospodarce. Polski eksport do 2020 roku ma rosnąć w tempie nawet do 10 proc. rocznie. Stajemy się potęgą eksportową?

Ależ skąd. Po pierwsze, polskiemu bilansowi handlowemu sprzyjał spadek cen ropy naftowej, którą niemal w całości importujemy. Po drugie, „dodruk” euro przez EBC sztucznie – i zapewne przejściowo – podkreślił wyniki gospodarek strefy euro, co zwiększyło popyt na polskie produkty. Po trzecie, eksporterzy skorzystali z bardzo słabego złotego i zapewnili dzięki temu wysokie przychody z eksportu. Nadwyżka eksportu nad importem ładnie wygląda głównie w statystykach, gdzie ogranicza deficyt płatniczy i podnosi PKB. Prawda jest bowiem taka, że polska gospodarka jest wciąż bardzo importochłonna. Import

wciąż stanowi około 40 proc. PKB. Dobra produkcja są w większości importowane – od komputerów po maszyny. Także w sieciowych sklepach, takich jak OBI czy Castorama, większość towarów pochodzi z importu. Nawet gwoździe są niemieckie. Import ostatnio zmalał, co przyczyniło się również do podwyżki w handlu zagranicznym. A zmalał, bo polska gospodarka jest w słabej kondycji. Jedno bezpośrednio wiąże się z drugim. Gdy siada wzrost gospodarczy, siada jednocześnie import. Kolejnym czynnikiem, który pozwala wytłumaczyć nadwyżkę w handlu zagranicznym, jest spadek cen paliw. Wprawdzie ilościowo wzrósł import surowców paliwowych, ale przy znacznie spadających cenach wartościowo względnie zmalał. Co zresztą tak naprawdę oznacza wzrost eksportu? Że polscy producenci nie są w stanie sprzedać swoich towarów na rynku krajowym. Popyt wewnętrzny jest w stagnacji. Powodów do radości

więc specjalnie nie ma. I jest więcej niż wątpliwe, że tę nadwyżkę da się stale utrzymać. Na dodatek mamy dane tylko za 10 miesięcy roku, do października, i nie wiemy jeszcze, jak wypadł listopad i grudzień.

Ale czy wzrost eksportu nie powinien zawsze być powodem do zadowolenia? Eksport jest przecież jednym z elementów tworzących PKB. Powoduje, że stajemy się bogatsi, prawda?

Gdyby to było takie proste. Polska gospodarka jest w słabej kondycji. Jak samochód, który kręci kołami w piasku, ale nie może ruszyć z miejsca. Wzrost gospodarczy jest pewną iluzją. Oficjalnie wynosi 3 proc. z kawałkiem, a w rzeczywistości jest ujemny. Mamy stagnację, jeśli nie recesję. Problem w tym, kto eksportuje. Jeżeli eksportują producenci krajowi, to znaczy, że ich zarobek staje się naszym bogactwem. Naszym wspólnym majątkiem. Oni ten swój zarobek wydają w kraju, wypłacają dywidendy. Jeśli eksportują firmy zagraniczne, to zysk z tego eksportu nie pozostaje w Polsce. Nawet jeżeli mamy więc niewielkie dodatnie saldo wymiany towarów, to powstaje pytanie: na czyją korzyść?

No właśnie. Według raportu Illicit Financial Flows from Developing Countries: 2004–2013 (czyli Nielegalne przepływy finansowe z krajów rozwijających się 2004–2013) organizacji Global Financial Integrity, z Polski w latach 2004–2013 nielegalnie wytransferowano w sumie 90 mld dol., czyli średnio około 9 mld dol. rocznie...

Bo na tym to polega. Jeżeli Niemcy mają nadwyżkę eksportową, a są jednym z naj-

większych eksporterów na świecie, to niemieckie firmy zarabiają, oszczędzają pieniądze, tworzą bogactwo narodowe, zwiększając zasoby kapitału w gospodarce. Ten kapitał jest następnie inwestowany zagranicą, na przejęcia, wykupy, jest pożyczany na wysoki procent. W ten sposób Niemcy mają Produkt Narodowy Brutto (PNB) wyższy od Produktu Krajowego Brutto (PKB). A u nas jest dokładnie odwrotnie. PKB jest wyższy od PNB, ze względu na drenaż kapitału zagranicę.

Laikom się wydaje, że gdy coś jest deficytowe i do tego dopłacamy, to jeśli to zlikwidujemy, będziemy bogatsi. To nieprawda. Kopalnie są deficytowe, ale coś wytwarzają

To, co zarobiliśmy, staje się bogactwem innego kraju. Eksport jest w Polsce – jak niedawno mówił w TVP Info prof. Modzelewski – także w pewnej mierze fikcyjny. Dlaczego? Bo służy do wyłudzenia VAT-u. Dostawa towaru, który faktycznie nie opuszcza kraju, jest deklarowana jako eksport. Albo wywóz faktycznie następuje, lecz są to towary niemające jakiegokolwiek wartości, czyli sfalszowany jest przedmiot wywozu i jego wartość. Wyłudzenia podatku od towarów i usług stały się od kilku lat zjawiskiem na tyle powszechnym, że zagrażają funkcjonowaniu naszego kraju.

Aż jedna trzecia naszego eksportu trafia za Odrę. Eksport do Niemiec wzrósł w ubiegłym roku o 11 proc.

Czy to nie zbyt mocne uzależnienie od jednego rynku?

To może być niebezpieczne w gorszych czasach. Wiedzą to choćby ci producenci żywności, którzy zbyt mocno uzależnili się od rynku rosyjskiego. Musimy rozwijać gospodarkę krajową, a nie wyprzedawać. Inwestycje zagraniczne stały się rodzajem fetyszu. Jeśli kapitał zagraniczny buduje coś nowego, na przykład nową fabrykę, to powstają nowe miejsca pracy i ludzie zarabiają. To się przekłada na nasze bogactwo, nawet jeśli inwestor ten transferuje część zysków zagranicę. Jeśli jednak wchodzi, by wykupić nasz istniejący majątek produkcyjny, to tracimy źródło zysków.

Jak można firmę sprzedać zagranicznemu konkurentowi? Przecież wiadomo, że ją zlikwiduje. Wejdzie tylko po to, by przejąć rynek

Nawet jeśli dopłacamy do czegoś, bo jest deficytowe, choćby do kopalń, to lepiej to mieć, niż tego nie mieć. Laikom się wydaje, że gdy coś jest deficytowe i do tego dopłacamy, to jeśli to zlikwidujemy, będziemy bogatsi. To nieprawda. Kopalnie są deficytowe, ale coś wytwarzają. Źródłem bogactwa jest to, co one wytwarzają. Wysoki i wciąż rosnący eksport do Niemiec jest dowodem na to, że jesteśmy krajem skolonizowanym. Przedłużoną ławą rzemieślniczą Niemiec. Niemieckie firmy produkują towary w Polsce, na przykład pralki, albo podzespoły do samochodów, które następnie eksportują do Niemiec.

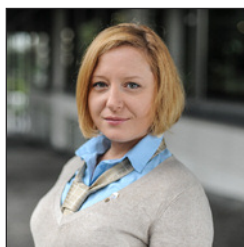
Gdy niemiecka gospodarka ma się dobrze, a obecnie w Niemczech mamy do czynienia z pewnym ożywieniem gospodarczym, eksport za Odrę rośnie. To tłumaczy także reakcję Berlina na zmianę władzy w Polsce i lament w niemieckich mediach. Jeżeli kolonizator widzi, że powstaje nowa władza, która chce ograniczyć jego wpływy, próbuje temu zaradzić.

Rząd PiS jest zdeterminowany, by wprowadzić obciążenia podatkowe dla banków i supermarketów. Nie wszyscy są jednak przekonani o skuteczności tych działań. Ostrzegają przed ucieczką kapitału. Podatku od obrotów obawiają się także polskie sieci handlowe. Ich zdaniem zagraniczne firmy sobie poradzą, a polskie zbankrutują...

Większość sektora finansowego to są zagraniczne banki. Zarabiają gigantyczne pieniądze i transferują zyski zagranicę. Chodzi o to, by zmniejszyć te transfery, jednocześnie zwiększając wpływy do budżetu. Ja również jestem sceptyczny co do skuteczności tej metody. Podatek nie pełni wyłącznie funkcji fiskalnej. Podatek stanowi pewien mechanizm, który ma zmienić sposób zachowania opodatkowanych podmiotów. Każdy podmiot dąży do tego, by mieć jak najmniejsze obciążenia. Teraz pojawia się pytanie: co opodatkować? W przypadku banków: aktywa? To może dać różne efekty w zależności od tego, co się w tych aktywach (oraz w pasywach) mieści. Pojawiły się pomysły, by opodatkować różne elementy zarówno aktywów, jak i pasywów. Ten sam problem istnieje w przypadku supermarketów. Zagraniczne sieci handlowe wypracowują duże zyski. Ale nie można opodatkować tylko zagranicznych podmiotów, należy obciążyć wszystkich. Średnia rentowność

obrotu w handlu jest bardzo niska. Oscyluje wokół 1,5 proc. Jeśli jest taka niska rentowność obrotu, to podatek w wysokości 1 proc. bardzo boli. Jeśli opodatkujemy tych największych, to jeszcze jakoś przejdzie, ale gdy uderzymy w słabszych, to może się to źle dla nich skończyć. Ludzie nie rozumieją jednej rzeczy: podatek się zawsze płaci z dochodu. Z niczego innego. Ale podatek jest wyznaczany na podstawie nie dochodów, lecz przychodów, bo uważamy, że dochód jest ukrywany. Nie wiemy więc, jakie są rzeczywiste koszty. Powiedzmy, że taka sieć supermarketów ma 30 proc. marży. Musi z tego jeszcze opłacić pracowników, energię, czynsz, ochroniarzy itd. To wszystko kosztuje. W efekcie rentowność może być bardzo niska. Dochód, który pozostaje, z którego można zapłacić podatek, może okazać się niższy, niż wynika z przychodu. Możemy więc wprowadzić jednostajny podatek od obrotu i wykosić wszystkich słabszych. Firmy zachodnie sobie poradzą, a firmy polskie padną. Ja patrzę na to sceptycznie. Zrzeszenie handlowców zaproponowało, by podatek ten był progresywny. Być może to jest jakieś rozwiązanie. Nie wiem.

To nie rozwiąże jednak problemu wysokiego uzależnienia polskich producentów od niemieckiego rynku ani wygaszenia przemysłu. Transfery będą mniejsze, ale my dalej będziemy gospodarczymi peryferiami. Jak temu zaradzić?



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
publicystka w Polityce.pl

Jeśli się wykosiło polski przemysł, to teraz trzeba go odbudować. To nie będzie łatwe. Zniszczyć jest łatwo, odbudować bardzo trudno. Działania polskich prywatyzatorów od siedmiu boleści, którzy sprzedawali polskie firmy ich zagranicznym konkurentom, zaprowadziły nas tam, gdzie obecnie jesteśmy. Głupota do szczęścianu. Jak można firmę sprzedać zagranicznemu konkurentowi? Przecież wiadomo, że ją zlikwiduje. Wejdzie tylko po to, by przejąć rynek. To się nazywało wówczas eufemistycznie „branżowy inwestor strategiczny”. Wejdzie i szczęśliwy, że kupił taniej, będzie rozwijał. Trzeba być idiotą albo cynicznym oszustem, żeby tak myśleć. Albo jednym i drugim, jak Balcerowicz. No i oni nie rozwijali, tylko wygaszali. Do tego, by budować siłę gospodarki, potrzebny jest własny przemysł i otwarcie nowych rynków eksportowych. Program reindustrializacji. W dzisiejszym świecie, w którym jest gigantyczna nadprodukcja, w którym silne koncerny podzieliły między sobą rynki, jest bardzo trudno wsadzić nogę w drzwi. Wymaga to ogromnego wysiłku i nakładów finansowych. Chiny wydały miliardy na wejście na rynek Huawei. Ale Chińczycy mają ogromne zasoby kapitałowe. Nam będzie o wiele trudniej. Zachód ma zresztą podobny problem, choćby Francja. Najpierw oddał produkcję, importując tańszą, chińską, teraz chce do niej wrócić, ale w wielu przypadkach jest na to już za późno.

Czy niedźwiedź wystawi smoka?



MICHAŁ LUBINA

doktor w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ,
analityk w Centrum Studiów Polska–Azja

Hongkong i Singapur miały zastąpić Rosjanom Londyn i Nowy Jork. Okazało się jednak, że banki azjatyckie nie chcą finansować rosyjskich inwestycji i po cichu przyłączają się do zachodnich sankcji

Rosja czeka na nowe rozdanie z Ameryką, zakopanie wojennego topora w sprawie Ukrainy i ułożenie się na Bliskim Wschodzie. Wiedzą o tym w Pekinie: to Chiny straciłyby najwięcej na nowym resecie amerykańsko-rosyjskim. Na szczęście dla Państwa Środka Waszyngton nie jest jeszcze gotowy, by na nowo ułożyć się z Rosją. To sprawia, że Moskwa czeka, czeka i nie może się doczekać.

Minął zwrot

Rok temu wiodącym tematem w rosyjskiej polityce zagranicznej był tzw. „zwrot na Wschód”. Moskwa dumnie głosiła reorientację na Azję–Pacyfik i obiecywała podczepienie się do tego najbardziej dynamicznie rozwijającego się regionu świata. Minął rok i... minął zwrot. A właściwie zastygł w próżni – poza retoryką niewiele się wydarzyło. Wręcz przeciwnie, w dynamice stosunków Rosji z Azją można zaobserwować regres. Można nawet złośliwie powiedzieć, że „zwrot na (Daleki) Wschód” został zastąpiony „zwrotem na Bliski Wschód”.

Bliskowschodnie zaangażowanie Rosji, choć istotne, jest jednak drugorzędne. Mówiąc ściślej, jest funkcją sytuacji na Ukrainie czy szerzej – na obszarze postsowieckim. Bo to właśnie reintegracja b. ZSRS była, jest i będzie najważniejszym wektorem polityki zagranicznej Rosji. Wszystko jest podporządkowane temu celowi, będącemu zarazem środkiem prowadzącym do niezmiennego priorytetu narodowego – odbudowy mocarstwowego statusu.

By istnieć, Rosja musi być mocarstwem. To truizm, wręcz banał, warto jednak go powtarzać, by się utrwalił i by ostatecznie odrzucić szkodliwe złudzenia. Rosja mocarstwem być musi, bo przemawiają za tym zarówno względy „obiektywne”, tj. jej geograficzna nieobronność, oznaczająca konieczność uzyskania strategicznej głębi między rosyjskim rdzeniem a zewnętrznymi wrogami (obszar rdzeniowy Rosji, Moskwa, nie jest chroniony przez naturalne bariery, takie jak rzeki, morza, bagna czy góry, przez co był wielokrotnie najeżdżany; z tego wynika strategia konieczności zajmowania wielkiej

ilości ziemi, by w razie najgorszego mieć terytorium, na którym agresor się wykrwawi), jak i „subiektywne”, czyli mentalnościowe. Ekspansja terytorialna zawsze pełniła w Rosji rolę kompensacyjną, wynagradzała Rosjanom zacofanie gospodarcze. Myślenie w kategoriach mocarstwowych pozostaje narzędziem wykorzystywanym przez władze w celu podtrzymania spójności i integralności rosyjskiego społeczeństwa – brak swobód obywatelskich, uprzedmiotowienie mieszkańców i niski standard życia są kompensowane poczuciem przynależności do imperialnej potęgi. Co prawda trudno powiedzieć, co jest tu jajkiem, a co kurą, tj. gdzie kończy się chłodne myślenie realistyczne, a zaczyna wielkomocarstwowa mania (autoteliczna potrzeba bycia mocarstwem dla samego poczucia wielkości), jednak efekt końcowy jest ten sam: Rosja musi być mocarstwem.

Moskwa gospodarczo i kulturowo ma światu niewiele do zaoferowania. Dlatego tak ważne są dla niej konflikty i sytuacje kryzysowe. Wtedy liczą się te dziedziny, w których Rosja jest mocna: dyplomacja i wojsko

To zaś oznacza, że w polityce zagranicznej Rosja zrobi wszystko, by utrzymać i wzmocnić swój mocarstwowy status. Z powodu jej słabości gospodarczej i cywilizacyjnej nie jest to jednak proste –

Moskwa gospodarczo i kulturowo (*soft power*) ma światu niewiele do zaoferowania i przez to nie jest atrakcyjna. Stąd tak ważne są dla niej konflikty i sytuacje kryzysowe. Wtedy liczą się bowiem te dziedziny, w których Rosja jest mocna: dyplomacja i wojsko, gospodarka zaś schodzi na drugi plan. Następuje „prymat polityki nad gospodarką”, co pozwala Rosji grać ponad stawkę i zyskiwać znacznie więcej niż wskazywałyby na to jej potencjał gospodarczy. Dlatego właśnie żywiołem Rosji jest wojna, nie pokój.

Putin wraca do gry

W skali mikro można to obserwować, przyglądając się sytuacji bliskowschodniej. Bez Syrii Moskwa była na Bliskim Wschodzie *de facto* nieobecna. Dziedzictwo aktywnej polityki ZSRS na tym obszarze zostało po 1991 roku przez FR odrzucone, gdyż była ona świadoma własnej słabości. Realnie rzecz biorąc, w 2015 roku Rosja wcale nie stała się na Bliskim Wschodzie silniejsza, ale po tym, jak włączyła się do wojny w Syrii, jej pozycja polityczna poszybowała w górę. Znacząco ingerując w konflikt, Moskwa stała się ponownie istotnym aktorem wydarzeń bliskowschodnich: ważnym, bo proponującym jakieś rozwiązanie (mniejsza o to, czy dobre), dającym zatem Bliskiemu Wschodowi konkret, czego nie da się powiedzieć o mocarstwach zachodnich. Upodmiotowienie Rosji na Bliskim Wschodzie przełamało z kolei próbę międzynarodowej izolacji Moskwy: już nie można udawać, że z Putinem rozmawiają tylko BRICS i mniejsi bądź więksi satrapowie Trzeciego Świata. Rosyjski przywódca powraca na zachodnie salony, ponieważ jest potrzebny. Tym sposobem Rosja poprzez wejście do wojny syryjskiej nie tylko zneutralizowała część

negatywnych następstw zaangażowania na Ukrainie, lecz także ponownie znalazła się przy globalnym stole, dzięki czemu może się targować również w innych, istotniejszych dla niej sprawach.

W skali makro mechanizm ten można dostrzec w wyczekiwaniu Rosji na konfrontację amerykańsko-chińską. Moskwa jest światowym rewizjonistą, marzy o odwróceniu geopolitycznych następstw zimnej wojny. Obecnie, w warunkach hegemonii amerykańskiej, jest to niemożliwe. Jednak pozycja USA słabnie i zdaniem wielu amerykańskie władztwo nad globem za chwilę się skończy. Wyłoni się nowy, wielobiegunowy świat. Jak się to stanie – nie wiadomo. Dla Rosji najkorzystniejszy byłby scenariusz konfliktu amerykańsko-chińskiego, gdyż wtedy obie strony barykady dramatycznie potrzebowałyby wsparcia Moskwy i byłyby skłonne drogo zań zapłacić.

Na razie jednak globalna wojna amerykańsko-chińska jest sprawą w miarę odległą (choć zdaniem niektórych, na przykład Jacka Bartosiaka, niebezpieczeństwo „oddolnego” wybuchu konfliktu na Morzu Południowochińskim jest duże). Na pewno nie chcą jej obecnie ani USA, ani Chiny. Władze nad Potomakiem mają nadzieję, że prędzej czy później uda się ustawić Chiny do pionu i uczynić z nich „odpowiedzialnego udziałowca”, niekwestionującego amerykańskiego władztwa nad spółką Glob S.A. z siedzibą główną w Waszyngtonie. Nad Jangcy zaś wiedzą, że Chiny nie są jeszcze gotowe na wyniszczającą konfrontację totalną: potrzebują czasu i pokoju dla dalszej modernizacji. Dlatego oba mocarstwa, nie chcąc wojny, stosują inny repertuar środków. Amerykanie próbują ograniczać Chiny w regionie Azja–Pacyfik (stąd amerykański zwrot ku Azji w 2011 roku i stąd najnowsze

TPP), Chińczycy zaś chcą wyrwać się z okrążenia poprzez budowę Nowego Jedwabnego Szlaku.

Odpuścić Chiny

Z punktu widzenia Rosji – mającej ambiwalentny stosunek do Nowego Jedwabnego Szlaku – Amerykanie już dawno powinni się z Moskwą ułożyć. Przecież – rozumują Rosjanie – najważniejsze interesy amerykańskie są nad Pacyfikiem i na nich Amerykanie powinni się skoncentrować całkowicie, w czym mieliby pełne moralne wsparcie Moskwy. Problem polega na tym, że Amerykanie, po pierwsze, przechodzą kryzys swojego przywództwa, po drugie zaś – uważają, że mimo trudności są w stanie utrzymać wszystko po staremu. Co prawda godzą się na konieczne ustępstwa, takie jak Iran, Birma czy Kuba, jednak zasadniczo są przekonani, że uda im się utrzymać *status quo*. A skoro tak, to nie ma potrzeby czynić koncesji na rzecz Rosji. Dlatego też, wbrew nadziejom Moskwy, Waszyngton wciąż nie przehandlował Syrii za Ukrainę ani też nie kupił jeszcze zgody Rosji na zablokowanie Nowego Jedwabnego Szlaku.

Ale Rosja wciąż ma nadzieję, że kupi. Bo w Moskwie po cichu przyznają, że z tą Azją tak trochę nie wyszło. Półtora roku od szumnej wizyty Putina w Szanghaju w maju 2014, po której w rosyjskim establishmentie zaczęło się wszem i wobec deklarować „zwrot na Wschód”, zorientowano się, że – by zacytować Aleksandra Gabujewa – nastąpił „zwrot donikąd”. Marzenia o równoważeniu Zachodu Azją spełzyły na niczym. Gospodarczo nie udało się sprawić, by Azja zastąpiła Zachód w roli głównego partnera handlowego i motoru rozwoju. Przeszkodziły czynniki niezależne, takie jak niskie ceny surowców

(nie tylko ropy) i kłopoty gospodarcze Chin, rzeczywiste przyczyny braku porozumienia znajdują się jednak głębiej. Rosja poza ropą, gazem i bronią nie ma Azji wiele do zaoferowania. A tymczasem liczono na cud. Wierzono, że Hongkong czy Singapur zastąpią Rosjanom – jako finansowe centra – Londyn i Nowy Jork.

Chiny z jednej strony robią wszystko, by dołączyć Rosję do Nowego Jedwabnego Szlaku, z drugiej zaś porozumiewają się z Kazachstanem i Turcją w sprawie Transkaspijskiego Szlaku Transportowego

Okazało się jednak, że banki azjatyckie nie chcą finansować rosyjskich inwestycji i że *de facto* po cichu przyłączają się do zachodnich sankcji (a jeśli już udzielają kredytów, jak dwa banki chińskie, to na gorszych niż lichwiarskie warunkach). W tej sytuacji, jak szczerze przyznają Rosjanie, łatwiej już omijać sankcje zachodnie niż męczyć się w Azji. Politycznie sprawa nie wygląda lepiej – Rosja nie zdołała naprawić stosunków z Japonią ani wzmocnić relacji z Koreą Południową (te dwa państwa, a szczególnie Japonia, są kluczem do powrotu Rosji do gry w Azji), a kontrakt gazowy z Chinami czy ostatnia sprzedaż Su-35 tylko wzmocniły azjatycką percepcję Rosji jako pekińskiego wasala. Rozczarowanie pogłębiły działania samego Putina, wyraźnie sfrustrowanego brakiem wyni-

ków na odcinku azjatyckim (odpuścił szczyty Azji Wschodniej i APEC, a podczas szczytu wschodniego we Władywostoku wolał zwiedzać oceanarium ze Stevenem Seagalem niż rozmawiać z inwestorami). Na Kremlu zdano sobie sprawę z niemożności równoważenia Zachodu Azją, przynajmniej na razie. A to prowadzi do prostej konkluzji – skoro „zwrot do Azji” (czyli *de facto* zwrot ku Chinom) niewiele dał, to spokojnie można Chiny odpuścić, utrudniając lub nawet blokując Jedwabny Szlak, na przykład w zamian za zniesienie sankcji i powrót do statusu sprzed wojny na Ukrainie.

Ufaj, ale sprawdzaj

Chiny obserwują to z mieszaniną spokoju i lęku. Nauczyły się, że na Rosji nie można polegać – stosują więc maksymę Dzierżyńskiego: „ufaj, ale sprawdzaj”. Z perspektywy chińskiej Rosja to partner ograniczonej użyteczności i jeszcze bardziej ograniczonego zaufania. Chiny nauczyły się Rosji – wiedzą, że nie jest mądrze na niej polegać, gdyż nigdy nie można mieć pewności, czy nie poświęci któregoś z porozumień dla kolejnej wolty w relacjach z Zachodem. Pekin w stosunkach z Rosją daje więc dowody swego słynnego pragmatyzmu – przyjął utylitarną zasadę, by „brać, co jest” i nie przejmować się zbyt retoryką. Dla Chin liczy się konkret, a tym jest w sferze wielkiej polityki Nowy Jedwabny Szlak. Dlatego z jednej strony robią wszystko, by dołączyć Rosję do tego projektu, z drugiej zaś porozumiewają się z Kazachstanem i Turcją w sprawie Transkaspijskiego Szlaku Transportowego, omijającego Rosję. Ta druga opcja jest jednak dla Chin w naturalny sposób mniej korzystna, gdyż na jej trasie występuje znacznie większy potencjał destabilizacji. Pekin

liczy więc na to, że poprowadzenie Nowego Jedwabnego Szlaku będzie się Rosji opłacać zarówno gospodarczo, jak i politycznie (zwiększy bowiem rosyjskie możliwości oddziaływania). A poza tym – że uda się Moskwę po prostu kupić.

Na razie kalkulacje te sprawdzają się z paradoksalnej przyczyny, jaką jest niechęć Moskwy polityka USA. Amerykę drażni rewizjonizm Rosji i jej konsekwentna niechęć do grania wyznaczonej jej przez Waszyngton roli globalnego junior partnera. Do tego dochodzą uprzedzenia samej administracji Obamy, pamiętającej historię resetu, Snowdena czy Syrię z roku 2013. Jest to niechęć skrywająca tak naprawdę brak pomysłu na Rosję, zakamuflowana wizerunkowym lekceważeniem. Jest też konflikt ideolo-

giczny – podczas gdy Waszyngton przyspiesza na odcinku liberalno-lewicowej nadbudowy światopoglądowej, Rosja próbuje montować „konserwatywną międzynarodówkę” w opozycji przeciwko amerykańskim siłom postępu (co te ostatnie mocno irytuje). To wszystko spaja spora doza emocji, skutecznie utrudniająca znalezienie porozumienia. Ale przecież w polityce wieczne są tylko interesy, więc stan ten nie utrzyma się na zawsze. Prędzej czy później się zmieni. Pytanie tylko: kiedy?

Na razie skutek jest jeden – jako że Amerykanie nie chcą się układać z Rosją, to ta nie bardzo ma miejsce na manewr. Rosyjski niedźwiedź może i by chciał, ale przynajmniej przez jakiś czas nie jest w stanie wystawić chińskiego smoka do wiatru.

Turecka lekcja dla Polski



KRZYSZTOF RAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
ekspert Ośrodka Analiz Strategicznych

Problemem Polaków jest syndrom papugi. Równanie do europejskich standardów było u nas celem samym w sobie, nie zaś środkiem służącym realizacji narodowych interesów

Jeśli Polacy chcą się wybić na podmiotowość na arenie międzynarodowej, powinni bardzo uważnie przestudiować przypadek Turcji Recepta Tayyipa Erdoğan i jego Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP). Wnioski z takiej analizy mogą się dla polityków znad Wisły okazać cenne i pomocne.

Nie przekreśla ich fakt, że w ciągu ostatnich dwóch lat można zaobserwować wyraźny regres tureckiej polityki. Jest on związany z naturalnym procesem zużycia się i demoralizacji władzy. R. T. Erdoğan rządzi już 13 lat i dla jego przywództwa nie ma realnej alternatywy. Dlatego ujawnia coraz większe skłonności autorytarne, dążąc do zmiany systemu parlamentarno-gabinetowego na prezydencki. Wyraźnie marzy mu się pozycja i władza otomańskiego sułtana.

Strategiczna głębia

Sukces Turcji polega na tym, że z bardzo słabego państwa peryferyjnego Zachodu w ciągu jednego stulecia stała się ważnym

mocarstwem regionalnym, mającym za datki na uczestnika światowego koncertu mocarstw.

Turkom udało się to, co z reguły nie wychodzi społeczeństwom niezachodnim. Zbudowali silne państwo narodowe i naród państwowy (polityczny). Fundamentem procesów państwowo- i narodotwórczych było upodmiotowienie społeczeństwa, czyli przekształcenie go w sprawnie działające społeczeństwo obywatelskie. Ten długotrwały proces doprowadził w końcu do uzyskania podmiotowości przez tureckie państwo i do odgrywania przez nie podmiotowej roli na arenie międzynarodowej.

Dlaczego Turcja w ciągu ostatnich stu lat odniosła niekwestionowany sukces, a Polsce się to nie udało?

Odpowiedzi należy szukać przede wszystkim w jakości przywódczych elit. Turcją od Atatürka po Erdoğan rządzili politycy, których celem jest potęga własnego kraju. Andrew Mango, brytyjski biograf Atatürka, twierdzi, że celem tego przywódcy był powrót Turcji do pierwszej

ligi światowych mocarstw, a nie imitowanie Zachodu.

Turcy, nawet jeśli odczuwali kompleksy wobec Zachodu, to nie wstydzi się i nie odrzucali swojej własnej tradycji. Dobrze opisuje to Orhan Pamuk w swojej słynnej książce *Stambuł*:

„Między szesnastym i osiemnastym rokiem życia niczym radykalny zwolennik Zachodu pragnąłem, aby moje miasto – i przy okazji ja sam – stało się całkowicie europejskie. Chciałem jednak również przynależać do starego Stambułu, który kochałem instynktownie, z przyzwyczajenia i dzięki wspomnieniom. Jako dziecko umiałem pielęgnować w sobie obydwa te pragnienia...”.

Demokratyzacja doprowadziła do reorientacji polityki zagranicznej Turcji. Jej głównym architektem jest Ahmet Davutoğlu – doradca Erdoğan, od 2009 roku minister spraw zagranicznych, a od 2014 premier Turcji.

Davutoğlu uważa, że narzucanie Turkom europejskiej tożsamości prowadziło do likwidacji pluralizmu w życiu politycznym, a w polityce zagranicznej – do bezalternatywności. Elity kemalistowskie znały bowiem tylko jedną, zachodnią orientację. Wskutek tego Turcja – jako państwo frontowe Zachodu – stała się obcym ciałem w swoim regionie. Izolacji sprzyjała nieufność Turków wobec arabskich sąsiadów. Nad Bosforem postrzegano ich jako zdrajców, jako tych, którzy zaraz po zakończeniu I wojny światowej zadali cios w plecy konającemu imperium.

Polityka Ankary miała więc jeden dominujący, prozachodni wektor i w tym sensie była bezalternatywna. To było jej główną słabością. Zachód, wiedząc o tym, dyktował dowolnie wysoką cenę. Turcy byli petentami i mogli tylko pokornie pukać do drzwi organizacji euroatlantyckich.

Szczególnie jaskrawo ten brak równowagi ujawnił konflikt cypryjski i akcesja do EWG/UE. Turcja jest stowarzyszona z Unią od pół wieku, negocjacje członkowskie trwają już 10 lat i cały czas znajdują się fazie początkowej (otwarto kilkanaście rozdziałów negocjacyjnych, zamknięto zaś na razie tylko jeden). Polsce stowarzyszenie zajęło kilkanaście lat, a negocjacje – kilka.

Turkom udało się to, co z reguły nie wychodzi społeczeństwom niezachodnim. Zbudowali silne państwo narodowe i naród państwowy

Partia Sprawiedliwości i Rozwoju odnowiła tradycyjną tożsamość, która jest stopem religii, narodowości i historii, czyli islamu, tureckości i tradycji osmańskiej. W ten sposób dokonała tradycyjnoanalistycznego zwrotu, swoistej antykemalistowskiej kontrrewolucji. Proces ten celnie ujął Seufert: „Naród, który jest stabilny i dynamiczny dzięki religijnej i kulturowej solidarności, zbudował gospodarczo, politycznie i militarnie silne państwo, które nie jest już zależne od Zachodu”.

Fundamentem nowej polityki zagranicznej Turcji jest sformułowana przez Davutoğlu koncepcja strategicznej głębi. Charakteryzuje ją przede wszystkim wielokierunkowość (lub wielowektorowość). Stosunki z Zachodem przestały być jedynym priorytetem. Wektor euroatlantycki nie jest już najważniejszy, zrównał się z innymi, czyli z wektorem bliskowschodnim, północnoafrykańskim, południowo-

kaukaskim i centralnoazjatyckim. Turcja Erdoğan i Davutoğlu gra na pięciu fortecianach jednocześnie.

Strategiczna głębia oznacza odejście od okcydentalizmu na rzecz swoiście pojmowanego panosmanizmu i panturkizmu. Jej celem nie jest jednak odtworzenie imperium osmańskiego i skupienie w nim narodów turekojęzycznych, lecz wykorzystanie tradycji imperium w dyplomacji. W ten sposób budowana jest tzw. miękka potęga (*soft power*) Turcji. Jej adresatami są Arabowie i zamieszkałe poza granicami ludy turekojęzyczne, których liczebność może być równa populacji Turcji.

Kluczowym kierunkiem stał się najbliższy region, w którym realizowana była zasada „zero problemów z sąsiadami”. Polegała ona na rozwiązywaniu wszystkich trudnych kwestii w relacjach dwustronnych i mediacjach, szczególnie podczas konfliktów między sąsiadami Turcji. W ten sposób Ankara budowała swoją pozycję i autorytet mocarstwa regionalnego. A wszystko to miało bardzo pragmatyczny wymiar: zwiększanie eksportu tureckich małych i średnich przedsiębiorstw do państw ościennych. Polityka zagraniczna musiała służyć realizacji interesu narodowego, a ten to przede wszystkim interes anatolijskich przedsiębiorców.

Nie przypadkiem wraz z narastaniem tendencji autorytarnych doszło do stopniowej rezygnacji z polityki „zero problemów z sąsiadami”. Walka z reżymem Asada w Syrii, a następnie z Kurdami, oznacza zwrot w polityce tandemu Erdoğan–Davutoğlu i skrócenie perspektywy strategicznej Ankary. Słabnięcie pozycji regionalnej Turcji może oznaczać wzmocnienie wektora zachodniego tureckiej polityki zagranicznej. Ta hipoteza może zostać dosyć szybko zweryfikowana przez kryzys imigracyjny. Papierkiem lakmu-

sowym tureckich intencji będą relacje z UE. Jeśli Erdoğan podejmie decyzję o rzeczywistym zbliżeniu i przyspieszeniu negocjacji akcesyjnych, będzie to świadczyć o stopniowym odchodzeniu od polityki „strategicznej głębi”. Paradoksalnie – prozachodnie zwroty w polityce Turcji dokonują się wraz ze wzrostem tendencji autorytarnych i ograniczaniem podmiotowości społeczeństwa.

Państwo na niby

Problemem Polaków jest syndrom papugi. Słabości transformacji postkomunistycznej wynikają z pełnego podporządkowania się Zachodowi i z nastawienia imitacyjnego wobec narzucanych przezeń wzorców. Wskutek tego równanie do tzw. europejskich standardów było u nas celem samym w sobie, nie zaś środkiem służącym realizacji narodowych interesów.

W Polsce, w odróżnieniu od Turcji, w ciągu ostatnich stuleci nie mieliśmy elit uformowanych przez niepodległe państwo. Nie inaczej jest w III RP. Obecne elity rządzące ukształtowane zostały przez PRL – zależne od Sowietów „państwo na niby”. Komuniści w drugiej połowie lat 80. XX wieku w sojuszu z częścią opozycji stworzyli układ oligarchiczny, który gwarantował ciągłość władzy i posiadania przedstawicielom ancien regime’u. Ci nieliczni sprawujący władzę przeprowadzili tzw. transformację ustrojową, która w dużej mierze miała charakter nekolonialnego podporządkowania Polski Zachodowi.

Doświadczenia AKP w Turcji mogą posłużyć jako recepta na odsunięcie od władzy oligarchii. Dokona się ono tylko wtedy, gdy obywatele odbiorą władzę nielicznym. Nie chodzi więc o wymianę oligarchii okrągłostołowej na postokrągłostołową, lecz o dokończenie procesów de-

mokratyzacyjnych, stworzenie silnego społeczeństwa obywatelskiego i systemu partyjnego reprezentującego interesy wielkich grup społecznych. Turkom to się udało. Kolejność była następująca. Najpierw znalazła się grupa społeczna, która w imię swoich interesów chciała przejąć władzę od rządzącej oligarchii. Następnie stworzyła ona silne instytucjonalne zaplecze w społeczeństwie obywatelskim (stowarzyszenia, instytucje edukacyjne, think tanki), a na końcu zdobyła władzę dzięki zorganizowaniu partii ludowej. Warto jednak pamiętać i o tym, że AKP w momencie objęcia władzy przesunęła się do centrum i wykonała wiele gestów pod adresem grup społecznych do tej pory jej niechętnych.

Drogi bilet do NATO i UE

Tylko podmiotowe społeczeństwo może prowadzić politykę zagraniczną zgodną z jego interesami. Nikt bowiem nie zrealizuje za nas naszych potrzeb. Po roku 1989 wpadliśmy w pułapkę jednowektorowości. Zachłysłaliśmy się możliwością integracji euroatlantyckiej i nie widzieliśmy świata poza Waszyngtonem i Brukselą. Integrację z Zachodem uznaliśmy za cel sam w sobie, a nie za środek do celu, jakim winna być realizacja narodowych interesów. Przy takim nastawieniu musieliśmy słono zapłacić za bilet do NATO i UE. NATO-wskie gwarancje bezpieczeństwa są, jeśli nie iluzoryczne, to na pewno dalekie od tego, w co wierzyliśmy. Zniszczyliśmy zdolność armii do obrony własnego terytorium, ale za to stworzyliśmy kilkudziesięcioletnie siły ekspedycyjne potrzebne nie nam, a mocarstwom. Wbrew wszechobecnej propagandzie ponosimy również koszty członkostwa w UE. Koszty naszej składki do unijnego budżetu i przystoso-

wania naszego kraju do szeroko rozumianej unijnej polityki ochrony środowiska, szczególnie w razie wprowadzenia tzw. pakietu klimatycznego, mogą zacząć wkrótce bilansować się z wpływami z tytułu funduszy pomocowych. I nikogo nie powinno to zaskakiwać, albowiem w gospodarce i w polityce międzynarodowej nie ma darmowych obiadów.

Polska polityka zagraniczna powinna mieć cztery główne wektory, które dawałyby nam możliwość wykonywania różnorodnych manewrów na arenie międzynarodowej

Podmiotowa polityka zagraniczna wymaga wielowektorowości. Brakuje nam wektora wschodniego. W pierwszym rzędzie odpowiada za to Moskwa, która stara się za wszelką cenę izolować Warszawę. Kreml wychodzi z założenia, że zawieszenie dialogu politycznego z Polską osłabi naszą pozycję i wpływy wobec zachodnich mocarstw. Jednak blokowanie polskiej polityki wschodniej może już niedługo przestać być skuteczne. A to dlatego, że na wschodzie pojawia się nowy podmiot – Chiny. Państwo Środka od kilku lat traktuje region środkowoeuropejski jako strategiczny. Jeśli zaś uda mu się zrealizować koncepcję Jedwabnego Szlaku 2.0, to jego rola w regionie będzie porównywalna z rolą Rosji. Wtedy Kreml, chcąc nie chcąc, zrezygnuje z polityki izolowania Warszawy poprzez ograniczanie dwustronnego dialogu politycznego. Polska

winna być gotowa do wykorzystania tej zmiany konstelacji geopolitycznej i do budowania silnego wektora wschodniego.

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza brak opcji wschodniej często skazywał nas na dyktat Waszyngtonu, Berlina i Brukseli. Dlatego powinniśmy obrać dodatkowo wektor skandynawski i południowy. Polska polityka zagraniczna powinna mieć cztery główne wektory, które dawałyby nam możliwość wykonywania różnorodnych manewrów na arenie międzynarodowej. Jesteśmy obecnie jedynym państwem w regionie środkowoeuropejskim, które nie ma czym równoważyć wpływów Zachodu. Prozachodnia jednowektorowość w praktyce doprowadziła do izolacji Polski we własnym regionie.

Wyjść z izolacji

Polska polityka nie powinna być proamerykańska, proniemiecka czy prorosyjska. Aby być skuteczną, musi dysponować swobodą manewru dyplomatycznego i w zależności od potrzeb równoważyć

wpływy mocarstw. Co oczywiście nie znaczy, że wielkość każdego z tych wektorów winna być jednakowa. Integracja euroatlantycka powinna być nadal najważniejszym priorytetem polskiej dyplomacji, a tworzenie innych wektorów ma na celu wzmocnienie jej efektywności. Nie ma jednak powodu, abyśmy byli bardziej zachodni niż Niemcy, Francja czy Czechy. Warunkiem autonomicznej polityki jest posiadanie strategicznej głębi.

Przykład turecki pokazuje, jak wyjść z izolacji. Stanowi również ostrzeżenie, że nie ma na to łatwych recept. Nie wystarczy sama zmiana partii w parlamencie. Problemem jest bowiem genetyczna słabość państwa i społeczeństwa – toteż Polska może osiągnąć podmiotowość tylko pod warunkiem, że przeprowadzi ich skuteczną transformację. A to nie będzie się podobać ani naszym sojusznikom, ani wrogom. W pewnym sensie musimy więc wrócić do punktu wyjścia i wyciągnąć wnioski z transformacji PRL-u, którą bez skutku prowadzimy od drugiej połowy lat 80. XX wieku.

„NK” w potrzebie!

„Nowa Konfederacja” znalazła się w trudnej sytuacji finansowej, w związku z utratą kilku Darczyńców. We wrześniu stałe przychody miesięcznika wyniosły 7 735 zł. Aby przetrwać, potrzebuje on 8 494 zł miesięcznie.

Koszty działalności „NK” obejmują wynagrodzenia za: artykuły, redakcję, korektę, grafikę, księgowość, obsługę informatyczną, skład.

Jeśli cenisz „NK” – wesprzyj ją!

Podstawą istnienia miesięcznika są stałe, comiesięczne darowizny. Nawet jeśli są niewielkie, dają poczucie stabilności i pozwalają planować aktywność.

Darowizny prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita: **09 1560 0013 2376 9529 1000 0001** (Getin Bank). W tytule przelewów najlepiej wpisać: „darowizna”. Jeśli zamierzają Państwo wspierać nas stale, bardzo prosimy o tytuł przelewu: „stała darowizna”.

Dlaczego warto nas wesprzeć? Przynajmniej z sześciu powodów:

1. „NK” jest próbą **stworzenia niskokosztowej poważnej alternatywy dla upadających – finansowo i intelektualnie – mediów głównego nurtu.** Stąd także nowy model pozyskiwania funduszy – poprzez mecenat obywatelski.

2. **Dostajemy wiele sygnałów, że udaje nam się realizować założone cele:** poważnie debatować o państwie i polityce, transmitować do szerokiej publiczności ważne idee naukowe i eksperckie, aktualizować polską tradycję republikańską. Sygnały te płyną zwłaszcza od przedstawicieli inteligencji.

3. Począwszy od października 2013 r., **udaje nam się regularnie publikować kolejne numery „NK”, poruszając tematy tyleż ważne, ile nieobecne w debacie,** jak np. neokolonizacja Polski, przebudowa globalnego ładu politycznego czy władza sondaży.

4. **Mamy wpływ na kształtowanie opinii, zwłaszcza elit.** Czyta nas 15–20 tys. osób miesięcznie, regularnie występujemy w telewizji, inspirujemy inne media do podejmowania wprowadzanych przez nas tematów, nasze artykuły są chętnie przedrukowywane przez popularne portale.

5. Wsparcie „NK” to także **wsparcie młodego – prawdziwie niezależnego i mającego odwagę płynąć pod prąd – ośrodka i środowiska intelektualnego,** niepoddającego się wszechobecnemu marazmowi i starającego się powoli budować lepszą Polskę.

6. **Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) zwolnione z podatku. Co więcej, podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy miesięcznik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika/miesięcznika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Niemniej w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy:

Stu Trzynastu Anonimowych Stałych Darczyńców, Andrzej Dobrowolski, Paweł Gałus, Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Michał Macierzyński, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Szymon Ruman, Jakub Stychno, Skryta Opcja Sarmacka, Marcin Sławeta, Michał Kocur, Remigiusz Iwuć

Pozostali Darczyńcy:

Stu Czterdziestu Sześciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny.

(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Redakcja:

Anna Kiljan (sekretarz), Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Stefan Sękowski, Piotr Trudnowski.

Redaktor prowadzący: Anna Kiljan

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Krzysztof Rak, Zbigniew Stawrowski, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke, Michał Lubina

Grafika (okładki): Kinga Promińska

Korekta i redakcja stylistyczna: Hermina Haintze

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Fundacja Nowa Rzeczpospolita
Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa